

TEATR
cena. zł. 1.50
i życie wytworne
№ 6


PROTOS
PROTOS
PROTOS

Teatr i Życie Wytworne.

ROK II CZASOPISMO ILUSTROWANE № 6

REDAKCJA I ADMINISTRACJA: WARSZAWA, CZACKIEGO Nr. 8. TELEFON 525-85.



P. OLA LESZCZYŃSKA *Fot St. Brzozowski.*

artystka Teatrów Miejskich w krynolinie z srebrnych lisów wykonanej w firmie Apfelbaum



DLACZEGO
RĘCE,
RAMIONA,
DEKOLT
i TWARZ
tej uroczej osoby mają taką nieporównaną, aksamitną karnację? Jest to wyłączną zasługą VELOUTY DE DIXOR, najniewinniejszego, a zarazem najcudowniejszego kosmetyku. posiadającego miękkość najlepszego kremu toaletowego — i mat najwytworniejszego pudru.
VELOUTY DE DIXOR wpływa niezwykle dodatnio zarówno na skórę twarzy, jak na skórę dekoltu i rąk.
VELOUTY przewyższa wszystkie inne preparaty, usuwa natychmiast piegi, plamy, nieestetyczne świecenie się noska, wszelkie wady cery.
VELOUTY DE DIXOR jest przyjacielem każdej wytwornej kobiety.
Do nabycia (w odcieniach: białym, różowym, cielistym, żółtym) w każdej pierwszorzędnej perfumerji i składzie aptecznym
Velouty de Dixor
Paris



Ot, co jest niezbędne do miłego spędzenia świąt wielkanocnych!

Hałama




ACADEMIE SCIENTIFIQUE DE BEAUTÉ
PARIS
PRZEDSTAWICIELSTWO
NA POLSKĘ I GDAŃSK
MAISON KORYTKO ET Cie
WARSZAWA. PL. DĄBROWSKIEGO
No 9
PARFUMS
POUDRES
CREMES
CRAYONS
POUR LES YEUX
ROUGE POUR LÈVRES

TEATR I ŻYCIE WYTWORNE

ROK II — CZASOPISMO ILUSTROWANE — № 6 (Kwiecień)



P. MARJA MODZELEWSKA *Fot. St. Brzozowski*

artystka teatrów Polskiego i Małego w sukni wizytowej z firmy B. Myszkorowski

5

ZDZISŁAW KLESZCZYŃSKI

PRZED WIOSENNYM SEZONEM

WSKAZÓWKI I RADY

Sezon wiosenny tem się różni od innych sezonów, że decyzji, raz powziętej, niema już czasu zmieniać, ile, że zanim się człowiek obejrzy, zaczyna się kanikuła i wszyscy ludzie dobrze wychowani wyjeżdżają z Warszawy, to znaczy; że niema dla kogo przekomponowywać kroju ubrania, fasonu kapelusza, menu obiadu i wogóle wytycznej życia.

Naczelną naszą zasadą winno być tedy na wiosnę: działać celowo i zawsze szybko.

Jeżeli, naprzykład, zamierzamy wydać proszone śniadanie, nie należy namyślać się zbyt długo. Rzodkiewka sparcieje, sałata przerośnie, kobiety się rozjadą — i cała organizacja weźmie w łeb!

Jeżeli chcemy sobie sprawić zawrotną toaletę na Derby, trzeba ją zamawiać zawczasu, bo Derby mają to do siebie, że go nie bisują.

Jeżeli nosimy się z zamiarem uwiedzenia tej-a-tej damy, musimy bezwłocznie, bez wahania, przypuszczać jeneralny szturm: inaczej zdarzyć się może, że jej mąż, wbrew wszelkim oczekiwaniom, jednak zdoła pożyczyć od kogoś 1000 dolarów — a wtedy, dowidzenia, Zuziu! Można za damą pędzić do Vichy, a ona właśnie wyjechała do Cannes. Można walić do Cannes, a ona właśnie pojechała do Dinard. Można szperać w Paryżu, a ona właśnie wyjechała do Monachjum. Można lecieć na Jeziora Włoskie — a tam, jak się okazuje, Nadziemskiej już dawno niema, bo nazbyt ziemski Nadziemskiej małżon «pociągnął niepotrzebnie do piątki» i zredukował się, wraz z Nadziemską, do Konstancina...

I na to wychodzi, że ty, nieszczęsny człecze, wykręcasz sobie szyję u jakiegoś, dajmy na to, Florjana i patrzysz, czy Nadziemska czasem gołębi nie karmi? — a ona, horribile dictu, faktycznie w tej samej godzinie karmi, ale nie gołębie, tylko twojego znajomego i rywala, Pajączkowskiego, i nie kukurydzą, tylko rakami po polsku, i nie na placu Marka, tylko na werandzie «Urszulki!»

— Tfu!

* * *

Ubierać się tedy trzeba (jak z powyższego wynika) krótko. Panie powinny nosić lekkie sukienki do kolan — mężczyźni — takież inexprimable.

Pracowite owijacze są przesądem. Owijaczów się już dziś nie nosi. Łydkę można, w razie potrzeby, korygować parafiną: jest to stanowczo w lepszym guście!

W sprawie biustu (zajmującego dużo czasu) obowiązuje ta sama moda, co i w zeszłym roku: biustu się w dalszym ciągu nie nosi.

W Warszawie (ale broń Boże w Paryżu!) dopuszczalne są nieduże, kilkomilimetrowe odchylenia: ale nie większe.

Jedynem dużem miastem, gdzie biust jest jeszcze na miejscu (o ile jest faktycznie na miejscu!) pozostał, po dawnemu, słodki Wiedeń, gdzie najpierw, jak wiadomo, widać na skrzyżowaniu, Ringu z Kärtnerstrasse biust, potem przez dłuższy czas — biust, następnie przez kilka sekund, wciąż jeszcze biust — a dopiero potem, kobietę. (Zresztą, ładną).

Monokle się jakąś jeszcze nie przyjęły. O ileby jednak komuś było w monoklu naprawdę do twarzy, może wkładać, ale tylko do spacerowego stroju, i nigdy na wstążce, tylko na mastyksie. Do fraka i smokinga nosi się nieduży, ale pełny portfel.

Do pyjamy najlepiej kłaść duże, rogowe amerykańskie okulary, chociażby dlatego, że dobry wzrok najbardziej przydaje się nam — w łóżku.

* * *

Żeby skończyć ze sprawą strojów: przypominamy, że w kwietniu, maju i czerwcu kobiety ubierają się powiewnie, a mężczyźni sportowo. Dlatego wystrzegać się należy przeciągów i wogóle przebywania na świeżem powietrzu. Wyjątek można zrobić, ale tylko dla tennisa. W dnie powszednie wystarcza sweater, w dnie świąteczne i konkursowe — mundur (kawaleryjski).

Mundurów artylerji i piechoty należy stanowczo unikać: są mniej twarzowe.

A propos tennisa: nie należy nigdy serwować na ten sam kwadrat, na którym się stoi: jest to źle widziane.

Przypominamy także, że w tennisa gra się w Polsce przeważnie w klubach zamkniętych: dlatego piłki, odbijane poza obrębem klubu (czy wogóle parku) uchodzą za out'y.

Z innych sportów, bardzo twarzowy jest konny, ale wyłącznie dla dam. Mężczyźni wyglądają na siodle przeważnie śmiesznie, podczas gdy kobiety wyglądają zawsze intrygująco. Amazonce podaje się dłoń (na wsia — i — zsiadania) z lewej, apéritif — z prawej strony. Innych przedmiotów podawać nie należy, bo znaczny procent koni jest usposobienia płochliwego.

Piłka nożna, jako sport wyraźnie proletarjacki, żadnych uwag nie nastręcza.

* * *

Zdarza się, że na wiosnę w Polsce przelotnie się ociepla. Dlatego wszelkie przyjęcia, nawet najintymniejsze — a właściwie, te przedewszystkiem — winny być aranżowane z lodem.

Zarówno masło, jak i rzodkiewki, zarówno barszcz, jak kruszon, powinny mieć temperaturę lodowatą. Wymaga tego zwyczaj, hygiena i dobre wychowanie.

W dnie mroźne, albo podczas zadymki, dobrze jest pokrzepiać gości grzanem winem, albo krupnikiem.

Nigdy jednak przed wódką (końjakiem) ani po mizerji.

Najstosowniejszym momentem do podania grzanego wina (krupniku) jest moment wysiadania z auta, albo siadania do auta.

Dorożki konne już wyszły z użycia. Niemniej, liczymy się i z tą ewentualnością. Kto się posługuje trakcją konną, jadąc na przyjęcie, powinien wstąpić do baru i zjeść porcję flaków.

Koń je w takich wypadkach tylko owies.

* * *

Erotyka wiosenna niepodobna jest do erotyki zimowej. Już to jedno, że rozpoczętego na fajfie flirtu niesposób kontynuować na maskaradzie, dla tej prostej przyczyny, że maskarad w tym czasie niema — albo to, że nigdzie za miasto autem wyjechać niepodobna, bo w każdym Wilanowie i każdej Strudze, aż czarno jest od znajomych, siedzących nieruchomo po dwoje i trzymających na wysokości oczu gotowanego raka — nakazuje pewne warjanty, zastosowane do warunków kalendarzowych.

Erotyka wiosenna powinna być wibitnie kameralna. Służbę należy jaknajwcześniej zwalniać do kina, męża — do resursy. (I tak wiadomo, gdzie będzie wcześniej, czy później: w Wilanowie, Konstancinie, albo Strudze: quartum non datur!).

Do osób z półświatka należy się odnosić serdecznie, choćby nosiły na głowie strusie pióra, albo inne wiszące ogrody: nigdy nie wiadomo, czy nie będziemy w lecie, na plaży, brali lekcji od ich angielek?

Pocałunki w usta są absolutnie niewskazane. Kobiecie nie sprawia to najmniejszej przyjemności, mężczyznę naraża na zabrukanie kołnierzyka roztapiającym się maquillagem.

Kobiety całować można za uchem — mężczyzn — we włosy.

Łysych — najbezpieczniej jest głaskać po łysinie. Zwracać jednak trzeba uwagę, aby łysina (albo ręka) nie były w stanie parowania. Nowoczesna daktyloskopja odkrywa każde dotknięcie. Znakomite usługi oddają rękawiczki!

* * *

Pod względem politycznym należy orjentować się zachowawczo i agrarnie (w przeciwieństwie do zimy, kiedy właściwszą jest orjentacja urbanistyczno-radykalistyczna).

W sprawach pieniężnych — trzeba na wiosnę trzymać się doktryny Monröe'go.

Fot. J. Malarski



«PULCINELLA», balet I. Strawińskiego, oraz «KURANT CZARODZIEJSKI», balet Pick-Mangiagalli w teatrze Wielkim. Reżyserował Feliks Parnell.

Premjera dwuch baletów w Operze Warszawskiej jest świadectwem zwycięstwa nowych prądów w instytucji, która od szeregu lat karmiła publiczność przedstawieniami, ujętemi w ciasne granice oddawna przestarzałego szablonu.

Zawdzięczać to należy przedewszystkiem baletmistrzowi p. Parnellowi, który częściowo dzięki własnej inwencji, częściowo zaś przenosząc na warszawską scenę metody, zaobserwowane na scenach zagranicznych, stworzył widowisko, przyjęte z jednogłośnem uznaniem przez krytykę.

«Pulcinella», balet, którego źródło tkwi w commedia dell'arte, posiada doskonale skonstruowaną muzykę, opartą na motywach Pergolese'go. Układ reżyserski, zapożyczony przez p. Parnella u rosyjskiego baletmistrza Miasina jest bardzo przejrzysty i daje doskonałe pole do popisu solistom.

Tutaj z uznaniem podkreślić należy debiut dwuch młodziutkich artystek pp. Lipkowskiej i Karczmarewiczówny, które nie zawiodły pokładanego zaufania i odpowiedzialne swe role wykonały doskonale.

Rolę Pumpinelli na premjerze wykonała p. Szmolcówna, na późniejszych — p. Pietrakiewicz.

«Kurant czarodziejski» przedstawia całkiem odmienny typ widowiska.

Balet składa się z szeregu oderwanych drobnych tematów, noszących wyraźne piętno rutyny rewjowej reżysera.

Mimo szeregu niedociągnięć zarówno artystycznych, jak i technicznych balet ten wykazuje dodatnie cechy zespołu artystycznego, który ofiarną pracą dobrze zasłużył na odniesiony sukces.

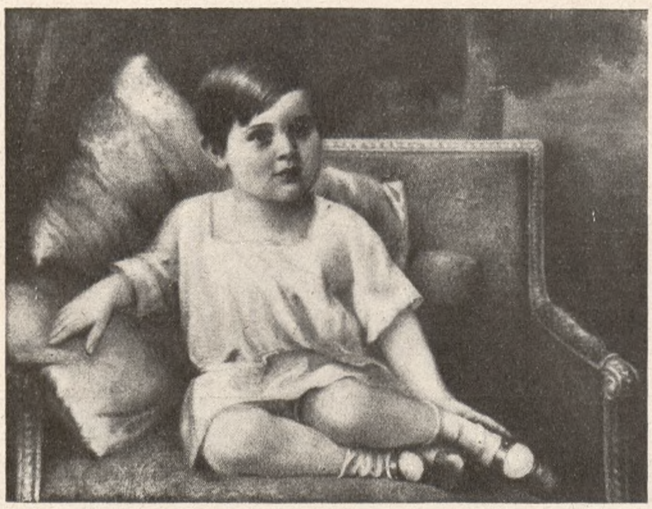




Lulu Arnstedt
Córka posła duńskiego w Polsce



Ks. Krystyna Radziwiłłówna



Christian Arnstedt
Syn posła duńskiego w Polsce



Pani X.



Alicja arcyks. Habsburgowa

MINJATURY KAZIMIERY DĄBROWSKIEJ

WACŁAW GRUBIŃSKI

KOBIETY IBSENA

Dawno nie czytałem utworów Ibsena, ale teraz z okazji stulecia tego potężnego dramaturga zwróciłem się wspomnieniem ku jego «Upiorom», «Dzikim kaczkom», «Wrogom ludu», «Rosmersholmom», i oto ujrzałem w zamyśleniu gromadkę postaci, za któremi, wyznaję, nigdy nie tęskniłem. Bohaterów Ibsena nie lubię. Jest w nich coś nieprzyjemnego. Mimo głębokości dramatów, jakie przeżywają, mają w sobie jakąś birdę prowincjonalną. Zanadto poważnie traktują powagę życia i siebie uważają za coś znacznie ważniejszego, niż wypada, niż wypada uważać na świecie wogóle człowieka. Ibsen był dramaturgiem genjalnym, odsłaniającym przekroje najciemniejszych zakątków duszy ludzkiej, ale niesamowite figury jego utworów mają czasem wygląd dziwnych stworzeń wiwisekcyjnych, które z namaszczeniem poddają się lancetowi uczonego profesora, poszukującego w ich organizmie komórki etycznej. Z pewnością nie mam słuszności, mam jednak wrażenie, teraz gdy przypominam sobie osoby działające w dramatach nieśmiertelnego norwega, że patrzę na maleńkie ubogie państewko, uprawiające w swej prasie bez znaczenia wielką politykę mocarstwową. W powadze pastora, rozmawiającego dyplomatycznie a dostojnie z panią Alwing w «Upiorach», jest koniec końców coś komicznego. I ten zacny «wróg ludu» z małego miasteczka, gdzie taką osobistością jest redaktor zapadłej dziury prowincjonalnej, również wydaje mi się — we wspomnieniu — człowiekiem wprawdzie szlachetnym i rozumnym, ale jednocześnie i trochę naiwnym. Chciałoby mu się powiedzieć: «Doktorze Stockman, wyjedź za granicę, odetchnij atmosferą wielkich stolic, i nie mierz robaków, z którymi wojujesz, miarą kosmiczną!»

Taksamo rzecz się ma i z kobietami Ibsena. Bywają urocze, mądre, czasem demoniczne, wszystkie jednak są prowincjonalne. Taka Rebeka? z «Rosmersholmu! Demon! A jednak...

Ibsen był żonaty z kobietą bardzo mu oddaną, inteligentną, oszczędną jak klucznica chudej spiżarki, skrupulatną jak dama klasowa, nudną jak cztery działania arytmetyczne. Dopiero na starość stał się wrażliwy na piękno młodości niewieściej, dopiero na starość serdecznie się zachwycił tem, za czem przemawiał z gniewem, z oburzeniem, z pasią, przez całą młodość i wiek dojrzały, za upojeniem, nie mając czasu oddać się, zarówno w życiu jak w twórczości, samemu smakowaniu upojenia. Jego Nora ma rację i jego «dzika kaczka» ma rację, obydwie te istoty przeżywają prawdziwą tragedję, ale wielkie przeżycia, piorunowe uświadomienia, które zachodzą w ich duszach, nie otaczają tych istot blaskiem takiego powabu, jakim głębokie przeżycia opromieniały bohaterki szekspirowskie, sofoklesowskie, shaw'owskie... I z Kaczego Dołu w pogodną noc jesienną gwiazdy na niebie wyglądają cudownie. Wolimy jednak patrzyć na nie ze stepu, czy z Akropolu, czy z plaży w Biarritz... W dramatach Ibsena są prawdziwe gwiazdy, lecz niema tam Akropolu, niema tam plaży, oglądamy je z biednej prowincji. Kobiety Ibsena nie są istotami, wzbudzającemi zachwyt, nie olśniewają nas. Dowiadujemy się przez nie głębokich prawd o duszy ludzkiej, ale nie kochamy się w nich, nie uwodzą nas, owszem, nie mamy ochoty spotkać się z niemi po raz drugi w życiu. Nie umiały się nam podobać. Wykonywują wspaniałe gesty dramatyczne ale... bez gestu. Tym lwicom brak rasy: urodziły się na prowincji między pospolitymi kotami, nabrały kocich manier i miauczą nawet wówczas, gdy ryczą.

Wprawdzie cały świat zwrócił na nie uwagę, ale tylko dlatego, że poprzez nie genjalny Ibsen pokazał nam swoją prawdę. Julja, Desdemona, a choćby i «Dama z kameliami», czarują nas same, po za «prawdą» ich twórców.

HENRI DUVERNOIS

BESTJA

Nowela ta wyjęta jest z całości, która ukaże się wkrótce nakładem „Roju".

O godzinie szóstej Marceli Ourdinneau podpisał ostatni list.

— Są jeszcze... — rzekł cichym głosem stojący przed nim urzędnik.

— Dosyć! Nie będę zdychał z roboty! Dwie godziny tracisz pan na obiad, a potem nadrabiasz wieczorem czas zmarnowany. Idjotycznie zmarnowany! Zły to system, mój drogi. System kawalerskiego życia. Radź sobie pan sam, na mnie czeka żona, uciekam...

Odsunął papiery. Gabinet Marcelego Ourdinneau przesycony był mieszaniną zapachów: płótna i wełny, mokrej flaneli, spleśniałego atramentu, niedopałków cygar i chypru — powietrzem magazynu i biura. Na stole było pełno aktów, rachunków, listów i próbek materjałów. Ze srebrnej ramki uśmiechała się twarz młodej kobiety o smutnych oczach. Na półkach — pudełka z cukierkami dla ważniejszych klijentek. Poprzez brudne szyby wysokich okien bez firanek padało mdłe światło.

— Ach, Boże, jak tu obrzydliwie, nieporządnie... Trzeba kazać wyczyścić tę stajnię, słyszysz pan?

Nie czekał na odpowiedź, wziął kapelusz, laskę, rękawiczki. Przebiegł przez magazyn z odkrytą głową, żeby dać personelowi przykład uprzejmości należnej klijentom.

Na bulwarze odetchnął głęboko. Był to człowiek wysoki, barczysty, o czarnych, lśniących, gęstych włosach. Wygolony starannie, nosił krótkie, przystrzyżone wąsy. Mimo, że pierwsze dni listopada były już chłodne, przez kokieterję czterdziestoletniego mężczyzny chodził bez płaszcza, dumny ze swej zgrabnej figury. Ubranie jego, z angielskiego materjału, miało kolor nieco jaskrawy, obuwie miał szerokie, boksowe, kołnierzyk niski. Przypominał myśliwego, który zabłąkał się w magazynie damskim. Twarz— rumiana, rysy — regularne, ostre. Z obawy przed utyciem, do domu wracał zawsze pieszo. Szedł ze swobodą człowieka mocnego, zdrowego, dobrze usytuowanego. Poznać w nim było szefa, bogatego szefa. Żebracy, którzy zazwyczaj są dobrymi psychologami, nie zaczepiali go nigdy.

Na bulwarze Malesherbes zatrzymał się przed wózkiem, ciągnionym przez starego robotnika i dwa zaprzężone psy: czarnego kundelka i chudego pudla.

— Stój! — zawołał Ourdinneau.

Czarny psiak słaniał się, sznury dusiły mu gardło.

— Rozwiążże pan to nieszczęsne zwierzę!

Starzec pochylił się.

— Mój biedny Pafie, znowu jesteś chory!

Biedny psiak, gdy go odwiązano, położył się, drżąc na ziemi. Głaskany przez swego pana, usiłował wstać, ale nie mógł. Drżał coraz bardziej. Pudel odwracał łeb, by nie patrzeć na konanie swego towarzysza, stał z ogonem podwiniętym i sapał z trwogi.

Marceli Ourdinneau poszedł swoją drogą, owładnięty jakimś niepokojem. Odczuł zatruty posmak niedobrego przeczucia. Nienawidził nieszczęścia, starości i choroby. Śpieszno mu było zapomnieć o tem, co widział: ucałuje Walentynę w czoło, oczy, usta... Wsiadł do dorożki. Droga, mimo, że krótka, wydała mu się nieskończenie długą...

— Pani jest?

— Nie, proszę pana.

Pokojówka dodała:

— Pan Vincelon przyjechał. Będzie na obiedzie. Pani kazała nakryć do stołu w buduarze.

— Co to za pomysł! Dlaczego nie w jadalnym?

— Pani kazała też napalić w buduarze.

— Gdzie poszła?

— Do bieliźniarki i dentysty.

Lampa, przysłonięta kremową gazą, dawała słabe światło. Subtelny zapach perfum pani Ourdinneau był dziś mężczwi mniej miły, niż zazwyczaj, bo już tym zapachem oddychał Vincelon — w sanktuarjum, do którego dotychczas żaden obcy mężczyzna nie miał wstępu. Na krześle leżał bladoniebieski szlafroczek. Ourdinneau zwinął go i rzucił w kąt.

— A jesteś!

Vincelon podskoczył i stanął na baczność, jak żołnierz, przychwycony na czemś niedobrem. Młody ten człowiek, niemrawy i nieśmiały, jąkał się niemożliwie, gdy go znagła nagabnięto.

— Tak... ja... twoja... żona... te... telefonowała.

Żałował, że nie miał w ręce książki, że Ourdinneau zastał go marzącego...

— Ja... ja... zo... zostaję u was na... na obiedzie.

— Wiem.

— Przeszkadzam ci.

— Bynajmniej. A czy ty nie masz przyjaciółki? W twoim wieku?

— Owszem.

— Kiedy ją widujesz?

— W sobotę wieczór.

— Szczęść Boże! Przynajmniej żadnych niespodzianek. Kochasz ją?

— Kogo?

— Djabła!... No, przyjaciółkę twoją, głupcze!

— Znamy się od trzech lat.

— Raz na tydzień... Ogółem — zaledwie sześć miesięcy normalnej znajomości.

— To prawda. Nigdy nie obliczałem. Czy ją kocham? Czy kocham? Ona znosi mnie, a ja widuję ją — bez wstrętu... Oto wszystko...

— I wystarcza ci to tygodniowe ćwiczenie?

— Jestem skromny i przewidujący.

— Nie masz powodzenia u kobiet?

— Mogę na balu tańczyć z kobietą trzy razy, a nazajutrz, kiedy mnie spotka, zapyta: kto jest ten pan? Jestem „tym panem" dla wszystkich. A „Vincelon" dla przełożonych. Tylko ty i twoja żona nazywacie mnie Roger. Słodko jest słyszeć swoje imię.

— A twoja kochanka nazywa cię panem Vincelon?

— Nie. Mówi do mnie Kiki.

— Moje ty biedaczysko.

O ósmej, zły już, zmiął w rękach gazetę.

— Niepokoisz się? — spytał Vincelon.

— Walentyna ma zegarek, który staje co chwila. Sto razy mówiłem jej, żeby wzięła inny...

Pokojówka, zapukawszy, zajrzała do pokoju.

— Pani jeszcze niema?

— Niema. Proszę zatelefonować do dentysty. Może było dużo pacjentów...

— Uspokój się — radził Vincelon.

W kilka minut później pokojówka wróciła.

— Dentysta widział się z panią po południu.

— A bieliźniarka?

— Nie było odpowiedzi. Zamyka o szóstej.

— O, dzwonią!

— To na dole. Czy mam podawać?

— Nigdy w świecie. Poczekamy na panią.

Służąca zamknęła drzwi.

— To coś niezrozumiałego! — zawołał Ourdinneau.— Ona zawsze jest w domu, gdy wracam...

— Może pojechała metro'em — rzekł Vincelon. — Raz zdarzyło mi się, że dwadzieścia minut czekałem w tunelu...

— Kiedy to było?

— Ze dwadzieścia lat temu...

Ourdinneau wzruszył ramionami. Podszedł do okna, otworzył je i stanął na balkonie. Stąd mógł najprędzej ujrzeć powracającą żonę. Wściekły był, że musiał niepokój swój dzielić z tym natrętem.

— Przeziębisz się! — zauważył Vincelon.

Tamten upierał się. Padał lekki deszczyk. Ulica była ciemna, jakby wroga. Gdzie też mogła być Walentyna?

Kobieta, choćby najbardziej ukochana, tak mało miejsca zajmuje na świecie... Zdawało mu się, że ta najdroższa istota zginęła gdzieś wśród nocy i deszczu...

— Ja myślę, że coś ją nagle zatrzymało.

Vincelon stanął przy nim i mówił dalej:

— Albo może pani Pleige zabrała ją na dancing. Ona przecież tańczy. Twoja żona nie mogła pewnie odmówić... A gdyby zatelefonować do Lucjusza Pleige? Możnaby się czegoś dowiedzieć...

W tej chwili rozległ się dzwonek.

— To ona — krzyknął Vincelon.

Ourdinneau rzucił się ku drzwiom, odpychając służącą i... cofnął się przed nieznajomym, poważnym, czarno ubranym mężczyzną.

— Czego pan sobie życzy?

— Do pana Marcelego Ourdinneau.

— Nie przyjmuję...

— Jestem komisarzem policji.

— Moja żona!... Stało się coś mojej żonie?

— Czy mogę mówić z panem na osobności?

Ourdinneau wepchnął go do swego gabinetu.

— Moja żona?...

— Nieszczęście...

— Nie żyje?

— Niech pan zbierze całą odwagę.

Ourdinneau zatoczył się, z głuchym stukiem uderzył o ścianę i zawył, ukrywając twarz w dłoniach:

— Nie żyje?

— Panie, muszę spełnić wobec pana bardzo przykry obowiązek. Niech się pan przygotuje na rzecz, najbardziej bolesną.

— Zaczekaj pan...

Odetchnął głęboko.

— Proszę mówić...

— Czy pan zna państwa Pleige?

— Tak...

— Pan był z nimi w przyjaźni?

— Tak.

— I... żadnego... podejrzenia?

— Nie...

— Raz jeszcze wzywam pana do odwagi. Pani Pleige zawiadomiona została listem anonimowym, że mąż jej miał się widzieć dziś po południu z...

— Z moją żoną?

— Z panią Ourdinneau, tak jest, w domu przy avenue de Choisy...

— To fałsz!

— Niestety... nie! O szóstej pani Pleige przyjechała i ukryła się na piętrze... Gdy mąż jej wyszedł wpadła do pokoju, w którym była pani Ourdinneau, wyjęła rewolwer z torebki i...

Po twarzy Ourdinneau, bladego jak śmierć, spływały krople potu. Usiłował wyprostować się, znieść mężnie bijące weń ciosy. Usłyszał jeszcze: „Przykre formalności... Rozpoznanie w Morgue... Jeśliby pan mógł iść ze mną?..." Zaciśnięte pięści przyciskał do piersi, jakgdyby stłumić chciał straszliwy ból, rozdzierający mu serce. Zdawało mu się, że umiera... Pochylił głowę i zachwiał się... I nagle jakaś dzika, nieludzka radość dźwignęła go. Ukarana! Ukarana wiarołomna żona! Nie będzie miał dla niej litości... Zapłaciła! Przez niego Walentyna doznawała samych radości, przez kochanka skończyła marnie. Wszystko w porządku.

— Panie, na miejscu pani Pleige postąpiłbym tak samo — rzekł.

Komisarz podniósł rękę, jakgdyby nakazując milczenie nad trumną.

— Jestem gotów. Idę z panem — dodał Ourdinneau.

Na schodach zawołała go pokojówka.

— Proszę pana! Co się stało? Proszę pana!...

Nie odpowiedział. Pobiegła wówczas do Vincelon'a, który nerwowo przechadzał się po buduarze.

— Wiesz coś, Eugenjo?

— Pan wyszedł z komisarzem.

— Wypadek?...

— Komisarz przyniósł jakąś złą wiadomość...

— Pani jest pewnie raniona... Może zderzenie samochodów?

— Tak?! A ja myślę, że to raczej dramat z wiarołomstwem...

— Milcz!

— Dentysta nie widział dziś pani. Ja skłamałam... W poprzedniej mojej służbie kłamałam także, że moja pani chodziła do krawcowej... Nasza pani nie była szczęśliwa...

— Zapewne...

— A pan też wiedział o tem, panie Vincelon... Zwierzała się panu... Wyrwało jej się to dwa lub trzy razy, gdy ubierałam ją. Powiedziałam jej raz: „Jaka pani piękna!" A ona odpowiedziała mi: „Gdybyś wiedziała, Eugenjo, jak mi to jest obojętne!" A gdy już była ubrana w nową suknię i klejnoty, patrzała do lustra, proszę pana, z takim wyrazem, jakby chciała zedrzeć to wszystko, opuścić i iść sobie! Gdy okrywałam ją futrem, uginała kolana jak pod ciężarem... Raz pan przywiózł jej djadem; pani wyglądała w nim jak królowa, jak obita, nieszczęsna królowa...

— Nie!

— Pan jej nie bił, naturalnie. Może to nawet byłoby lepiej, w pewnem znaczeniu. Wybiliby się i więcejby o tem nie myśleli. Nasz pan nie jest złym człowiekiem. Tylko on... nie rozumie... on... jak to powiedzieć?... prześladował panią. Myślałam czasem, że ona albo ucieknie, albo się zabije. Budziła się rano taka smutna, że przykro było patrzeć. Taka śliczna pani. Naprzykład, kiedy pytałam ją, co ma być na obiad... ach! proszę pana!... to jakbym mówiła do lunatyczki. „Takie mi to obojętne, Eugenjo..." Już nie mogła znieść obiadu we dwoje, ani ich sypialni. Raz, kiedy pan był w podróży, całe noce przesiedziała na tej kanapie, gdzie pan siedzi... O, niech pan nie wstaje. W nieobecności pana Ourdinneau wyglądała, jak pensjonarka na wakacjach. Śpiewała. Lubiła pana i państwa Pleige. Z nimi nieraz zanosiła się od śmiechu, co jej się nie często zdarzało.

— A dzisiaj, kiedy wychodziła?...

— Była w dobrym humorze. Wychodząc powiedziała mi: proszę przygotować dobry obiadek dla pana Vincelon. Miała piękną suknię i śliczny kapelusz.

— Pewny jestem, że ją przywiozą ranną. Musisz ją troskliwie pielęgnować.

— O, proszę pana, dałabym wszystko, co mam w kasie oszczędności... Niestety... Pan nie wychodzi? Może panu przynieść filiżankę buljonu?

— Nie, dziękuję.

— Trzeba czekać, czekać...

Vincelon znalazł szlafroczek Walentyny, ciśnięty przez Ourdinneau. Okrył pocałunkami atłas miękki, jak ręka Walentyny, którą pewnego wieczora, kiedy była bardziej zmęczona niż zazwyczaj, pocałował dwa razy z rzędu. Nie gniewała się. Nazajutrz dała mu pudełeczko, które nosił teraz zawsze przy sobie. Na pokrywce kamiennej był wyryty napis: „W dowód przyjaźni". Od przyjaźni do miłości — jakaż przepaść! Vincelon nie marzył nigdy o przebyciu jej. Przy Walentynie cichły w nim wszystkie myśli, wszystkie pragnienia. Żył tylko sercem. Otaczał ją serdecznością, z której nawet nie zdawała sobie sprawy. Pewnego razu, na wsi, otulił szalem jej ramiona; w godzinę później powiedziała mu: „To ty, Roger, przyniosłeś mi szal? Nawet nie zauważyłam tego, ale było mi dobrze, ciepło. Dziękuję."

Te słowa były już dla niego nagrodą. „Nie zauważyłam tego, ale było mi dobrze..."

— Proszę pana...

Vincelon odłożył szlafroczek.

— Proszę pana! Nasz pan idzie...

Równocześnie rozległ się głos Ourdinneau:

— Pan Vincelon jest jeszcze? Zapomniałem o nim...

Wszedł z twarzą obojętną.

— Więc co się stało, Marceli?

— Tak, tak, chcesz wiedzieć... I Eugenja także chce się dowiedzieć... Dobrze. Ale ostrzegam was, że niepiękna sprawa...

— Walentyna?...

— Zabita przez panią Pleige, która przychwyciła ją *in flagranti* ze swoim mężem.

— Nie rozumiem...

— Walentyna była kochanką Lucjana Pleige. Pani Pleige dowiedziała się o tem i zabiła ją. Zrozumiałeś teraz?

— Zabiła?

— Wieleż razy będę musiał powtarzać?

Pokojówka rozpłakała się.

— To okropne.

— A tak — przerwał Ourdinneau — a pokojówka pewnie wiedziała o tem... co?

— Ależ nie, proszę pana! Także coś!

— Co tu robisz wogóle, rozwalona na krześle?

— Tak mi żal, proszę pana... Przepraszam, że usiadłam...

— Zapowiadam wam obojgu, że nie zniosę koło siebie żadnych żalów, ani skarg. Podawać obiad.

— Pan będzie jadł?

— Tak, w jadalnym. Zostajesz ze mną, Roger?

— Nie chcę zostawić cię...

— No, śpiesz się, Eugenjo. Chcę, ażeby wszystko szło normalnie, jakgdyby nic nie zaszło.

— Jakgdyby nic nie zaszło! — zawołał Vincelon.

— Czy może ja jestem winien?... — spytał Ourdinneau. — Czy może mam jej żałować? Albo wyobrażać ją sobie inaczej, jak w łóżku tego człowieka? Musiałbym być bohaterem, lub ostatnim kretynem... Chcesz wiedzieć, co teraz odczuwam? Ogromną ulgę. Wyrozumiałość i pobłażliwość zostawiam innym. Mam wrażenie, że sprawiedliwości stało się zadość i to dobrze.

— Zginęła bestja, zginął i jad! — zakończył.

— Chcesz cygaro, Vincelon? Nie?... Jesteś zadziwiający! Nie palisz, nie mogłeś jeść obiadu. Przysiącby można, że to ty jesteś mężem! Co za niedołęga! Cieszę się, że moi rodzice zrobili ze mnie mocnego człowieka... Litość? tak... to uczucie dla słabych! Wydaję ci się potworem, co? Widziałem dziś, jak zdychał piesek, który ciągnął wózek... O mało się nie rozpłakałem, przyznaję się. Męka tego zwierzątka była mi nieznośna... Nie zawiniło nikomu... Przeciwnie, pracowało. To coś znaczy... Ale te wszystkie kobiety próżnujące!... Z próżniactwa rodzi się zdrada...

— A... tamten?

— Interesuje cię los pana Lucjana Pleige? Nie bój się. Uciekł. Początkowo chciał interwenjować, ale Teresa... to jest pani Pleige, krzyknęła podobno: „Nie z tobą chce się porachować, tylko z nią!" Nie mogła przecież zabić tego gagatka, którego od piętnastu lat poi rumiankiem i okrywa flanelą. Bo od piętnastu lat są już małżeństwem... Zresztą, okropny jest ten donżuan! I miał rację, kto powiedział, że kobiety nie mają ani gustu, ani obrzydzenia... Ten ogromny nos! Te krzywe nogi! Ta zapadła pierś... Słaby człowiek! Walentyna też była słaba. Ale słabi łączą się dla złego... Lucjan Pleige uwodzicielem! Sięgał mi do pasa i miał zgniłe zęby! A jaki nudziarz! Mówił o muzyce, sztuce, poezji, podróżach... Grał fałszywie na fortepianie! Malował akwarele jak pensjonarka! I sławił noce weneckie... słyszałeś go! Walentyna wyrzucała mi, że zasypiam, gdy on mówi... Ja bardzo chętnie słucham wywodów o sztuce, ale gdy opo-



W KĄPIELI
TOALETA
W TEATRZE
MYDŁA
KREMY
PUDRY
LABORATORJUM CHEMICZNO FARMACEUTYCZNE
APTEKI
MYDŁA DO GOLENIA
M. MALINOWSKIEGO.
CHMIELNA 4. WARSZAWA, NOWY-ŚWIAT 31.

wiada o tem artysta, a nie niedoszły inżynier! Co za idjotyzm! A najbardziej oburza mnie głupota tego wszystkiego, tani romantyzm tej sprawy... Ten poeta!... Musiał pisać do niej idjotyczne wiersze... Zgóry byłem pokonany... Ja znam się tylko na moim fachu, ty wiesz!... A Walentyna wstydziła się tego zawodu, z którego żyła... Krzywiła się, gdy wspominałem o moich klijentach! Klijentki! Sklepikarskie słowo! A wiesz, gdzie ją znalazłem, ją ten skarb prosty, tego anioła eterycznego?

— Marceli, proszę cię...

— Zostaw. Dobrą jest prawda. I dobrze robi. Znalazłem ją na ulicy, mój drogi na ulicy! Aha! Zaskoczyło cię! Dobrze zachowana tajemnica. Niech mnie licho porwie, jeśli kiedykolwiek przypuszczałem, że będę o tem rozpowiadał! Taka dystyngowana panienka... Była wówczas sekretarką jakiejś instytucji finansowej, dość podejrzanej. Dyrektora zamknęli przed półtora rokiem. Co Walentyna robiła w tej norze? Nie sprawdzałem. Byłem ślepy! O piątej podawano jej herbatę. Czyż to mogło być poważne! Wyobrażasz sobie mnie, ofiarującego herbatę moim urzędnikom?... Spotkałem ją przy ulicy Grange-Bateliere. Szedłem do drukarni. Biegła ulicą, śpiesząc się i wpadła mi w ramiona! Przeprosiłem, ona także. Zaczęliśmy rozmawiać... Miałem wówczas kochankę tak przeraźliwie głupią!... Walentyna olśniła mnie! Chciałem zobaczyć ją jeszcze... Nie spałem całemi nocami. Wreszcie spotkałem ją znowu. Zaczęły się sentymentalne spacery. Opowiadała mi o swym zmarłym ojcu, o swej zacnej, świętej matce... Jej matka! Stara blondynka... Zlikwidowałem moją kochankę... dobra była dziewczyna... Łucja. Czy też Manouche?... A tak, Manouche. Załatwiłem wszystko szybko. Byłem zakochany... Walentyna opanowała mnie... Ta bladość lilji... te fiołkowe powieki... ten wyraz męczeński... Wieczna ofiara! Gdy ożeniłem się z nią, „robiła" dalej męczennicę... To już powołanie! Ostatecznie oświadczyła, że mnie kocha, i byłem szczęśliwy, że mogłem jej uwierzyć...

— Była szczera.

— Prawda? Wszystko się stać może!

— Nie kalaj twych dobrych wspomnień...

— Pluję na moje dobre wspomnienia! Tak, być może, że w owej chwili Walentyna wzięła radość swą za miłość... Bo jednak przez to małżeństwo wydobyłem ją z nędzy. A zamienić ciemną norę na piękne mieszkanie i odbić sobie wspaniale wszystkie lata trosk i biedy, to przecież ma swój posmak?!... Tylko że po tygodniu uważa się największy zbytek za rzecz należną. A mąż, niegdyś książę z bajki, staje się, jak najlichszy perkal. Musi się, oczywiście, poświęcać... Przecież daje mu się coś w nagrodę. Niema powodu do skargi, bo mu się płaci... To jest właśnie prostytucja mieszczańska, najgorsza ze wszystkich, najgorsza, słyszysz!... „Ażeby cię głowa nie bolała, gdy obejmę cię dziś wieczorem — przyjmij ten płaszcz sobolowy! Ażebyś się uśmiechała, gdy zaproponuję ci spędzenie tej nocy ze mną, zamiast iść na bal — racz przyjąć ten djadem, lub tę kolję, lub bransoletę!..." Żyłem jak w gwiezdzistym śnie... Wdzięczny za najmniejszą ofiarę... Ach, wyjść z biura i zastać ją w domu, trochę smutną, trochę daleką, ale zastać ją! Nie miałem zresztą żadnego podejrzenia, żadnego. Znałem przedtem same kokoty i sądziłem podług nich wszystkie kobiety, myślałem, że miłość, to jest właśnie to znudzone zezwolenie...

— Przykro mi, że...

— Przykro ci! Biedactwo! Pomimo to wysłuchasz mnie.. Postanowiłem sobie, że wyniesiesz stąd dokładny obraz pani Ourdinneau, z domu Hallecret. Inaczej, pierwszy rozpowiadałbyś wszystkim, że była moją ofiarą, że była usprawiedliwiona. Bo masz umysł, jak w romansach i w sztukach teatralnych. Ale najśmieszniejsze jest to, że z największą trudnością wprowadziłem tego wilka do mojej owczarni. Walentyna nie znosiła pani Pleige, ani Lucjana Pleige. Musiałem nalegać...

— Broniła się...

— Naturalnie! Trudno coś ukryć przed tobą, psychologu! Wreszcie zdecydowała się przyjąć ich. Wybuchła piorunująca przyjaźń. Nie widywano odtąd Pleige'ów bez Ourdinneau i Ourdinneau bez Pleige'ów! Walentyna jakgdyby odmieniła się. „Tak nam miło we czworo" mówiła nieraz do mnie. Raz, przy kolacji, Walentyna zaproponowała ogólne tykanie się! Dobrze! Okazałem największy zapał: „Twoje zdrowie, Lucjanie! — Twoje, Marceli! — Za zdrowie Walentyny! — Za twoje, Tereso!" Upijaliśmy się szampanem i przyjaźnią!... Teresa... to jest pani Pleige, patrzała na to raczej chłodno. Piła także, ale z pewną rezerwą. Chwilami spoglądała dziwnym wzrokiem na swego męża i Walentynę. Ale znasz ją przecież, spotkałeś ją u nas. Trudno przywiązywać choćby najmniejszą wagę do tej kobieciny, czarnej i suchej, z rękami jak patyki i z fryzurą z 1885 roku... Psiakrew, gratuluję tej kobiecie! Zrobię, co będę mógł, ażeby ją uwolniono, zaręczam ci. Opowiem sędziom moją historję. Zdemaskuję Walentynę! Napiętnuję ją publicznie. Przygotuję zeznanie, zobaczysz...

— Marceli, masz serce zranione, rozumiem cię...

— I przebaczasz mi. Dziękuję. Jestem winowajcą. Tak, tak, masz słuszność: jestem wielkim winowajcą. Przez moją głupotę... Bo co też miałem w głowie? I w oczach? Teraz przypominam sobie... W Szwajcarji chciałem raz pocałować moją żonę, gdy staliśmy nad jeziorem Lucerny... Była „noc wenecka" z oświetlonemi gondolami, niebo cudowne... Powiedziała mi wtedy: „Marceli, błagam cię, daj mi spokój, tu zbyt pięknie!..." Było zbyt pięknie, rozumiesz!? „Właśnie!" — odpowiedziałem jej. A ona wstrząsnęła się jakby zbudzona ze snu. „Ach! tak!" rzekła tylko. A ja nie podejrzewałem niczego! Jakgdyby mogło istnieć na świecie coś piękniejszego, niż pocałunek dwojga kochających się ludzi! Ostatecznie, gdybym był patrzał i słuchał, jak należy, wiedziałbym o wszystkiem... Powinienem był odesłać ją do jej mieszkania przy ulicy Salneuve, do jej biura, do jej zacnej matki! I nie zdradziłem jej nigdy... Cztery lata!... Nigdy. A przecież nie brak mi okazji. Do magazynu przychodzą nieraz ładne klijentki, które zgodziłyby się chętnie! Ale od czasu spotkania Walentyny, wszystkie kobiety były dla mnie tak brzydkie, jak mężczyźni... Przypominam sobie, że jedna ruda powiedziała mi raz: „Panie Ourdinneau, jesteś pan doprawdy zanadto głupi!". Wiedziała napewno... Inni musieli także wiedzieć... Nie? Dlaczego nie? Ulica de Choisy nie jest przecież tak daleko... A potem miała na wszelki wypadek przygotowane *alibi*... Kupowała torebki i portfele dla wszystkich swoich znajomych... Miała nawet przynieść mi haftowany portfel do biletów wizytowych... Ach! gniazdko ich nie było wspaniałe, nie... Mieli podobno jeden pokój... umeblowany... na piątem piętrze... Tło godne tej idylli!... Łajdactwo!

— Pomyśl o tem, gdzie... gdzie jest w tej chwili — wyjąkał Vincelon, który siedział, jak na torturach.

— Rażą cię moje słowa! Przepraszam. Poprawiam się... Widziałem przed chwilą tę cnotliwą kobietę... Widziałem ją tam, gdzie miała skończyć... w Morgue... Znowu ci przykro?... Cóż za cham ze mnie! Można przecież użyć milszego określenia: „skład żałobny!"... Widziałem więc tę cnotliwą kobietę w „składzie żałobnym". Polecam ci to widowisko... Ani jeden nerw nie zadrgał we mnie... Wszyscy obecni podziwiali mnie... A ty nie?... Cóż chcesz? Gdy ktoś zdradza, to nie same kwiaty zbiera w nagrodę... Oczywiście, gdyby była wiedziała!... To jest stała wymówka kryminalistów! Gdyby była wiedziała! Ja uważam, że ten koniec urzędowy, ta wystawa numerowana, w najohydniejszem miejscu na świecie, jest bardzo odpowiednia dla puszczających się kobiet...

— Panie!...

— Co „panie"? Zwarjowałeś?

— Pogardzam panem...

— Byłeś jej kochankiem!

— Byłem jej przyjacielem.

— Od czterech lat, a moim od dwudziestu!.. Byłeś jej kochankiem, przyznaj się... Jeden więcej, czy mniej!...

— Byłem jej przyjacielem... Jestem tylko człowiekiem... Pańskie obelgi oburzają mnie. Jesteś pomszczony, okrutnie pomszczony przez inną... Czyż to ci nie wystarcza? Czy nie sądzisz pan, że po tem morderstwie godniej byłoby milczeć?

— A jeśli nie chce mi się milczeć! Głupcze!... Umiem nienawidzieć, bo umiałem kochać... Ty, nie miałbyś sił... Tak, jesteś tylko nędznym człowiekiem. Wynoś mi się stąd. Dość długo mnie już nudzisz... Dalej! no! Przyjacielu zgnilizny, zaufańcze prostytutki!

Vincelon, chwycony za kołnierz, usiłował wyrwać się i padł zemdlony. Ourdinneau zadzwonił.

— Wziąć i wyrzucić za drzwi — rozkazał pokojówce.

II.

Przez kilka następnych miesięcy, Ourdinneau rozwinął działalność bardzo ożywioną. Na rozprawie sądowej jego zeznanie uniewinniło panią Pleige. Po wyroku ukłonił jej się bardzo nisko. Wśród publiczności ozwały się różne zdania: kobiety zarzucały mu brak serca, mężczyźni chwalili go. Później sprzedał swój dom handlowy. Firma, w której zdarzył się taki skandal, musi zniknąć. W międzyczasie, spotkała go niespodzianka: matka Walentyny, pani Hallecret, „stara blondynka", jak ją nazywał, zrzekła się ewentualnego spadku po córce i odrzuciła pomoc, jaką jej ofiarował, jedynie zresztą dlatego, ażeby nie mówiono, że jego była teściowa przymiera głodem. Wytłumaczenie tego gestu znalazł w liście od siostry Walentyny, zamieszkałej w Tuluzie: „Moja matka chce odpokutować winę swego dziecka — pisała ta pani. Pomimo skromnych warunków materjalnych, możeby ją utrzymać. Jest zresztą bardzo chora, nie wstaje już z łóżka i żywi się dwiema szklankami mleka dziennie. Walentyna była jej dumą. Matka z rezygnacją zniosłaby śmierć, ale pamięć jej winy prowadzi ją do grobu. Całem sercem lituje się nad panem. Spodziewamy się, że czas przyniesie panu jeśli nie zapomnienie, to przynajmniej ukojenie"... i t. d.... Ta stara warjatka, jednak!... Ourdinneau spodziewał się więcej interesowności. Podarł list. Podarł także i spalił wszystkie pamiątki po Walentynie. Potem zamknął mieszkanie i schronił się do najbardziej ruchliwego, głośnego i roztańczonego hotelu. Spało się tam byle jak, przy dźwiękach *ragtime*'ów *i schimmy*. Odpowiadało to najlepiej stanowi jego duszy. Leczyć się ze złości i żalu w ogłupiającym wirze bezustannej zabawy... *Ragtime* i *shimmy* jakby kpiły z niego, wykrzywiając się rozpaczliwej jego samotności: „Nuże, głupcze, do tańca!". Tak, niech tylko oblecze się w nową skórę —im prędzej, tem lepiej! Zmienił swój wygląd, zapuszczając brodę, i zameldował się pod nowem nazwiskiem: „Marceli Alban". Przez kilka tygodni jeszcze będzie głośne nazwisko Ourdinneau. Tragedje rodzinne mają wogóle powodzenie. Ludzie czytają o nich z ciekawością, chciwie chwytają każdy szczegół. A popijając przy lekturze ciepłą kawę, myślą zazwyczaj z przyjemnością, że zdrady, tragicznie zakończone, trafiają się — na szczęście — dość rzadko... Bieliznę swoją kazał poznaczyć literami M. A. Na biletach wizytowych widniał adres: Marceli Alban, Hotel Imperial, ulica de la Paix. Z namysłem i metodą zorganizował sobie tryb życia, pamiętając o ćwiczeniach higjenicznych, bo chciał długo żyć, aby prześcignąć Walentynę, zmarłą w dwudziestym siódmym roku życia. On żył i był cudownie zdrów. Mścił się w ten sposób... Przy ulicy Rivoli spotkał raz Vincelona. i przeszedł obok niego, nie mrugnąwszy okiem. Tamten odniósł wrażenie, że się omylił. W absolutnej swojej samotności, zdradzony mąż nie czytał już gazet, ni książek. Nie chodził nawet do teatru. Każda powieść, każda sztuka zdawała mu się być osnuta na jego nieszczęściu. A chciał zapomnieć. Zmuszał się do tego... Walentyna nie była dla

niego żoną. Żoną była pani Pleige, do zbrodni posuwająca swą miłość małżeńską. Walentyna była tylko kochanką, chwilową kochanką.

I postanowił wreszcie zastąpić ją inną. Wyglądał, jakgdyby nosił po tamtej żałobę. To było zbyt głupie! Wszystkie rozkosze były mu dostępne Postanowiwszy to, ubrał się w smoking i udał się na obiad do eleganckiego kabaretu. Jakaś osóbka, dość ładna, uśmiechnęła się doń. Ale po chwili rzekła do kelnera: „Auguście, nie mógłbyś mi poradzić jakiego lekarstwa? Okropnie cierpię na nogi!". Ourdinneau dał spokój i poszedł do music-hall'u, gdzie napróżno usiłował sobie wybrać towarzyszkę. Jedna ukazywała wspaniały, obnażony biust, ale też i bestjalską gębę. Inna znów miała ręce, jak kucharka. Ourdinneau nie czuł się na siłach podtrzymania głupiej konwersacji, przystąpienia do przedwstępnych formalności. Gdy orkiestra zagrała pożegnalnego marsza, Ourdinneau wyszedł i błąkając się bez celu, zatrzymał się przed jaskrawo oświetlonym dancingiem na Montmartre. Wszedłszy tam, cofnął się od progu, ale tłum wchodzących gości pchnął go do środka. Kelner posadził go przy stoliku i postawił przed nim butelkę szampana. Na sali panowała hałaśliwa wesołość. Opasły murzyn grający na trombonie i skulony we dwoje saksofonista, posuwali się pośród stolików, wydając histeryczne okrzyki. Goście obrzucali się kulkami z celulojdu i potrząsali grzechotkami. Pozornie obojętny, lecz zmęczony tłumioną żądzą, Ourdinneau przyglądał się rozpasanym tancerkom, przyciśniętym do partnerów. Nikt na niego nie zwracał uwagi. Był samotny, a za cenę butelki szampana miał prawo patrzeć, jak inni bawią się i pieszczą. Począł zazdrościć tej szczęśliwej młodzieży i poszukał w pamięci adresu którejś z tych dziewcząt, które znał dawniej. Napróżno; ani nazwiska, ani adresu nie mógł sobie przypomnieć. Tak małą rolę odgrywały w jego życiu!... Pod wpływem alkoholu ogarnęło go rzewne wzruszenie. Przez chwilę bił brawo młodziutkiej tancerce, ekscentrycznie ubranej i uczesanej, która tańczyła sama. Ale gdy wkońcu partner jej, młody chłopiec, porwał ją na ręce i uniósł zadyszaną Ourdinneau schylił głowę nad kieliszkiem i pomyślał z ironją, jak śmieszny jest w tem miejscu jego wdowi smutek. Wyszedł. Jego pijackie podniecenie zmieniło się w nieznośny niepokój zmysłowy. Czyż wkońcu będzie musiał usłuchać namów jednego z tych nocnych duchów, ocierających się o niego? Wszedł do hotelu i ujrzał na korytarzu nieznajomą osobę, wołającą służącego. Objął ją nagle ramieniem i pociągnął do swego pokoju, zamykając drzwi za sobą.

— Jesteś pani moim więźniem!

Dama śmiała się bardzo. Gdy zdjęła szal, którym owiniętą miała głowę, dostrzegł Ourdinneau, pomimo zamglonego wzroku, że miała wąsy i krzaczaste brwi. Była cudzoziemką i przedstawiła się jako pani Hounflick, czy Zoumwhiste. Bawiła się znakomicie! Zapewne sama właśnie wracała z dancingu, czy music-hall'u, i uważała tę przygodę za całkiem naturalną. „Paryż! Ach! Paryż!" — powtarzała w ekstazie. Patrzała na Ourdinneau łakomym wzrokiem i śmiała się wciąż śmiechem dziwnym, niezrozumiałym, śmiechem murzyńskiego saksofonisty...

Ourdinneau, wytrzeźwiony momentalnie, wyprowadził panią Hounflick na korytarz i zawołał dyżurnego chłopca:

— Proszę otworzyć drzwi tej pani — rzekł.

Kładąc się do łóżka, pomyślał jeszcze: „Jestem śmieszny! Jestem okropnie komiczny".

Nazajutrz dostał kartkę, dyskretnie zredagowaną, w której niejaka pani Sollefouque z ulicy Mascon zawiadamiała go, że przyjmuje codzień, od piątej do siódmej, w swych salonach prywatnych. Tego rodzaju instytucje odpowiadają najlepiej ludziom zawiedzionym i rozczarowanym. Ourdinneau żałował, że nie przyszło mu to wcześniej do głowy. Udał się tam tego samego dnia. Pokojówka wprowadziła go do gabinetu kosmetycznego. Wkrótce ukazała się pani Sollefouque.

(Ciąg dalszy na str. 37).





Model z kolekcji wiosennej firmy Bogusław Herse *Fot. St. Brzozowski*

MODNE MATERJAŁY

Zmęczyły nas ciemne kolory i gładkie tkaniny. Dobre to było na szare, mgliste dni zimowe. Wiosenne słońce woła o barwy j a s n e i ż y w e, o wesołe arabeski deseni. Wiosenny sezon przynosi nam wielką rozmaitość tkanin wełnianych w odcieniach beige, zielonkawych i szaroniebieskich. Prześliczną nowością są wełny przetykane złotem.

Wielkie kwiaty spotykają się jedynie na materjałach podszewkowych, wyjątek stanowią muśliny jedwabne, z których to muślinów drukowanych w duże kwiatowe desenie,



robi się oryginalne wieczorowe toalety na zielony karnawał. Na suknie popołudniowe wolimy desenie drobne, trudne do rozpatrzenia. Geometryczne figury, drobniuchne stokrotki i boże krówki, stylizowane żołnierzyki — wszystko zlewa się w deseń tak drobny i splątany, że trudno rozpatrzyć szczegóły. Zostaje wrażenie barwne i świeże, radujące oczy. Grochy i groszki wszystkich barw i rozmiarów są ulubionym deseniem wiosennym w Paryżu. Nosi się je na sukni, na jumperze, na wiązanym na szyi szaliku, nawet na kapeluszu. Oby się zbyt prędko nie opatrzyły.






Pani L. S.
W kapeluszach firmy „M=me Henriette"



Robe=manteau z czarnego crèpe satin, przód z białego meteoru haftowanego. Model Gustawa Zmigrydera

Kapelusz M=me Henriette.

Fot St. Brzozowski

Kostjum popielaty wełny frisca bluza jumper i żakiet haftowane kolorami pastelowemi. Model Gustawa Zmigrydera

Kapelusz M=me Henriette



JADWIGA BUKOJEMSKA

Artystka teatru »Morskie Oko« p. Jadwiga Bukojemska zalicza się do nielicznej kategorji aktorów, rozporządzających wszechstronną edukacją sceniczną.

Początkowo artystka baletu, po ujawnieniu walorów wokalnych p. Bukojemska została zaangażowana do operetki i bywalcy teatralni z pewnością wdzięcznie zachowali w pamięci jej występy w teatrze »Nowości«.

Jednym z dalszych etapów pracy scenicznej p. Bukojemskiej był teatr dramatyczny. Jej występy w teatrze im. Modrzejewskiej w Poznaniu cieszyły się stałem powodzeniem.





Z tak wszechstronnym stage'm p. Bukojemska okazała się bardzo wartościową siłą w teatrze rewji. Jej finezyjne recytacje, poparte brawurowym tańcem, noszą cechy pracy świadomej i doskonale przestudjowanej. Pozbawiona poparcia efektownych dekoracji, zespołu baletowego lub partnerów, a nawet orkiestry, mając odpowiednie teksty wywołuje żywą reakcję na widowni i codziennie zbiera obfite żniwo zasłużonych oklasków.



P. LEOKADJA PANCEWICZOWA,
artystka teatrów Polskiego i Małego w efektownem futrze chinchilla z firmy W. Pawełek

Fot. St. Brzozowski


Z ZA MORZA
Najlepsze ziarna kakaowe z Wenezueli i Jawy, egzotyczne owoce południowe, oryginalne likiery i koniak a nadewszystko umiejętne ich przerobienie dają ten ulubiony przysmak jakim są nasze czekoladki deserowe
Fuchs
T. Gronowski

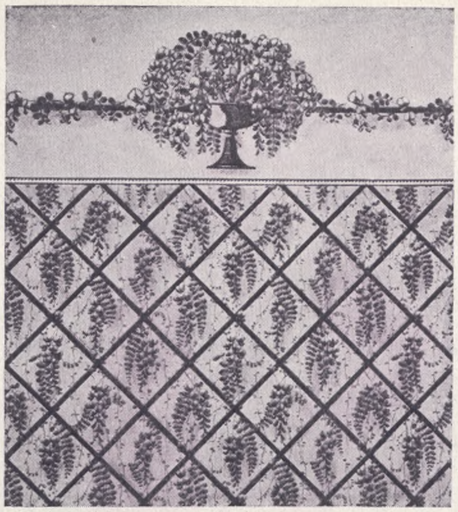
OBICIA PAPIEROWE

Rozglądając się po swem mieszkaniu, pierwsze, co się w oczy rzuca i prosi o odnowienie, to wyblakłe i niemodne obicie ściany. Nic bowiem nie ma takiego znaczenia w urządzeniu mieszkania, jak tapeta, która niejednokrotnie zmienia zupełnie fizjognomję wnętrza. Jasna tapeta rozjaśnia ponury pokój, dystyngowane obicie gobelinowe potrafi mu nadać pozory stylowości, wreszcie, ściany, ożywione wesołym i barwnym deseniem ożywiają wnętrze.

Wybór tapety jest rzeczą bardzo ważną i decydującą o charakterze całego mieszkania. Trzeba umieć tapetę zastosować do rodzaju mieszkania, do przeznaczenia pokoju, do mebli, obrazów, a wreszcie... do upodobań własnych. Wybór ten jest o tyle trudny, że przemysł tapeciarski jest bardzo rozwinięty, dysponuje więc obiciami rozmaitych stylów, stosuje w nich nawet kanony nowoczesnej sztuki i przedstawia tak wielką różnorodność i bogactwo, iż trudno się zdecydować i utrafić na odpowiednią dla siebie tapetę.



Artyści, projektujący tapety, stosują się do dyrektyw, stawianych przez nowoczesną architekturę i hygienę—modne więc naogół są tapety jasne.



Wzory tapet firmy F. Staszewski w Warszawie.

Tapetujemy pokój bardzo wysoko pod górę. Deseń rozmieszczamy w ramach, utworzonych przez t. zw. mat i wykończamy listwami.

Pokój jadalny tapetujemy dziś najczęściej w kolorze bleu lub zielonym.

Kto pragnie mieć pokój o solidnym wyglądzie, obija ściany tapetą, imitującą gobelin, lub stylową materję. Oczywiście, iż dobieramy wtedy odpowiednią do obicia mebli, tapeta w sypialni jest przeważnie w kolorze lila, złocistym lub też w tonach degradé. Deseń nowoczesny rzadko jest stosowany.

Gabinet pana domu jest czerwony, bronzowy lub granatowy. Różniczkujemy obicie gabinetu wedle zajęć właściciela. Motywy anten, konstrukcji, spirali stosowne w pokoju pracy inżyniera nie odpowiadają upodobaniom literata lub lekarza.



Dziecięcy pokój, wciąż jest biały, różowy lub żółty. Fryz ze scenek dziecięcych lub szlak z kwiatów, imitujących barwne kretony jest jego jedyną ozdobą.

Do przedpokoju nadaje się półskórek do zmywania lub tapeta w deseń szkocki, lub w pasy.

Buduar pani? To pieścidełko utrzymane jest zwykle w stylu egzotycznym. Więc chińszczyzna, motywy japońskie, lub z bliskiego Wschodu...

MODELE WIOSENNE



Model firmy Ludwika



Model firmy Ludwika

Fot. St. Brzozowski



Model firmy Ludwika



Fot. St. Brzozowski

«DON KISZOT»,

fantazja dramatyczna w 11 odsłonach Stanisława Miłaszewskiego w teatrze Polskim. Reżyserował Karol Borowski. Dekoracje Karola Frycza.

Bajka o rycerzu smętnego oblicza, Don-Kiszocie z Lamanszy, ujęta w piękną szatę poetycką przez Stanisława Miłaszewskiego, jest świadectwem wielkiego i celowego wysiłku teatru Polskiego.

Brak dostatecznych walorów scenicznych zastąpił teatr doskonałą inscenizacją i barwną wystawą. Reszty dokonali aktorzy, którzy nie uronili nic z piękna poetyckiego utworu.

Przedstawienie jest prawdziwym tryumfem talentu aktorskiego Marjusza Maszyńskiego, który z roli tytułowej stworzył arcydzieło nieprzeciętnej miary.

WELL

WIOSNA I MODA

Zapowiadały wiele, dotrzymały mało. Grożono nam długą suknią, krótkim stanem, krynoliny na codzień etc...a jak przyszło co do czego Paryż, via pokazy naszych wielkich firm, zaprezentował nam szereg kreacji niewątpliwie ponętnych, lecz zasadniczo niewiele się różniących (na szczęście!) od modeli wiosennych z 1927 r. Jak twierdzą niektórzy mistrze igły «tendencja zmierzająca na jesieni ku przydłużeniu spódnicy zaznaczyła się zupełnie wyraźnie». Może i jest tendencja, ale przedłużenia nie zauważyłam, przy najlepszej chęci nie zdołałam go dostrzedz. Amatorom ścisłości statystycznej, posiadającym dużo wolnego czasu, mogę polecić przeprowadzenie specjalnych studjów porównawczych nad długością damskich sukien. Radzę zaopatrzyć się w tym celu w szkła powiększające i centymetr z milimetrową podziałką. Czy nawet tak uzbrojonym uda im się skonstatować owo znakomite «przydłużenie» — wątpią; sądzę natomiast iż w międzyczasie uda im się skontatować tyle innych rzeczy, nierównie bardziej fascynujących, że nie będą zbytnio straconego czasu żałować.

Linia stanu wciąż się waha jak piękna pani... przed wyborem najgodniejszego z swych konkurentów. Ktoś zgryźliwy powiedział że mężczyźni miewają wędrującą nerkę, a kobiety mają stale wędrujący stan. Jest w tem odrobina prawdy. Sądzę że ta wędrówka, czy wahanie, jak kto woli, wynika stąd że wielcy krawcy w swem pragnieniu, wprowadzenia krótkiego stanu jako nowości, spotykają, za każdym razem, solidarny spór uroczych klijentek. Bowiem krótki stan pogrubia, h o r r i b i l e d i c t u! Precz z krótkim stanem! Wszystkie chcemy być piękne, wiecznie młode i, niezależne od rzeczywistej ilości kilo żywej wagi, przynaj-

znaleść na indeksie u każdej eleganckiej kobiety, lepiej sobie sprawić jeden, jedyny kapelusz na sezon wiosenny i letni, ale niech to będzie model z jednej z tych prześlicznych egzotycznych słomek jak bangkok lub sizol. Fasony wiosennych kapeluszy, całkiem odmienne od miękkich i obcisłych kalotek bez ronda, jakie nosiłyśmy w jesieni i w zimie, bardzo przypominają letnie modele z 1927 r. Ale ktoby przechowywał kapelusz przez cały rok. Zresztą gdyby nawet tak było, gdyby nawet zeszłoroczny kapelusz był i modny i świeżutki, kupiłybyśmy sobie inny. Bo kobieta nie dlatego kupuje sobie nowy kapelusz, że wogóle potrzebuje kapelusza (jak np. mężczyzna) lecz dlatego że pragnie mieć Nowy Kapelusz. Ta potrzeba odnowy najostrzej daje się odczuwać na wiosnę. To też panie nie mogą się doczekać, aż ciepło pozwoli zamienić zimowe futro na lekki płaszczyk, lub kostjum wiosenny, z czego zadowoleni krawcy stwarzają paradoksalną koncepcję: futra wiosennego. Okrycia lżejszego niż zimowe foki, lub karakuły a cieplejszego niż wiosenny trois pieces kasha, lub jedwabiu. Takiemi wiosennemi futrami szczególnie





mniej wyglądać szczupło. Chociaż wiosna, ta wiecznie młoda wiosna, bywa nieraz niedyskretna, jak prawdziwe enfant terrible i psotna, jak złośliwy chochlik. Bezwzględne w swej szczerości promienie wiosennego słońca potrafią zaraz zdradzić takie zmarszczki, o których się dotąd nikomu nie śniło, nawet w świetle jarzących się balowych kinkietów. A tu naraz są i nikt na to nic nie poradzi. I nosek, tak ślicznie przed wyjściem zasmarowany kremowym pudrem, w słońcu wiosennem z całym cynizmem ujawnia wszystkie swoje wągry i pryszcze i świeci niczem mosiądz przez warstwy tynku. Smutne bo prawdziwe. Co za szczęście że modne są woalki, których dyskretna mgiełka przysłania górną część twarzy przed badawczemi spojrzeniami najmilszych przyjaciół, tych najserdeczniejszych.

Jeszcześmy się nie zdążyły nacieszyć trwałością mody filców, mody praktycznej, wygodnej i dostępnej dla wszystkich kieszeni, gdy pierwsze podmuchy wiosenne przyniosły nam modę kapeluszy słomianych bardzo szykownych i bardzo drogich. Tanie gatunki słomek powinny się

lubianemi są: agneau rasé (golone jagnięta, to pośmiertne golenie niewinnych jagniątek ma dla mnie jakiś dziwny posmak sadyzmu) czarne źrebaki, zawsze modne i śliczne krety oraz fantazyjne druki na temat lampartów na skórkach cielęcych i króliczych. Podobno prawdziwe źrebaki są w świecie futer niewiele mniej rzadkie niż prawdziwe lamparty, a te źrebaki które my nosimy to jakieś pośmiertnie oszkalowane kozy. Mniejsza o to skoro są lekkie i ładne. Najulubieńszem przybraniem zarówno wiosennego futra jak wełnianego okrycia lub kostjumu nadal pozostaje lis. Wspaniały lis czarnobury, młody, twarzowy i rozkosznie niepraktyczny lis biały, lis niebieski i lis farbowany na popielato, uroczy jak zręcznie podmalowana młoda kobieta, wreszcie lis rudy, czerwono, wyzywająco rudy... Chciałoby się je mieć wszystkie... Ale to tylko takie sobie wiosenne marzenie, z tych, co nigdy nie zostają spełnione. Bo przecież trudno wyjść na ulicę w samym lisie, nawet w kilku lisach. Mogłoby to być piękne i oryginalne, ale ludzie są u nas tak straszliwie zacofani... Zwłaszcza ta policja... Niezbędny jest kostjum wiosenny.





Zeszłoroczna fałdowana spódniczka z krótką dwurzędową marynarką jest jeszcze absolutnie, ale to absolutnie modna, nawet dernier cri. Nie jest to zresztą powód, żeby sobie nie sprawić drugiego kostjumu z marynarką, naprzykład, zapiętą na jeden guzik, albo opasaną wązkim zamszowym paskiem.

Zresztą potrzebny jest Pani na wiosnę deux pieces z takiego trykotu przetykanego metalową nicią, tego co pani wie... I płaszczyk podbity takim materjałem jak sukienka... I sukienka z takiego materjału jak podszewka płaszcza... I sukienka gładka z drobno plisowaną spódniczką... I sukienka deseniowa cała z marszczonych falbanek... i pantofelki sportowe zapinane na rzemyczek i pantofelki strojne z jakiegoś arcykrokodyla, i palto samochodowe, i samochód i kilka nowych flirtów, bo stare już się nieznośnie opatrzyły... Mój Boże! Jak bardzo wiele rzeczy potrzebuje elegancka młoda kobieta na wiosnę!

MODELE KAPELUSZY WIOSENNYCH FIRMY „J. A. SOLECKA"



Pani K. Ch.

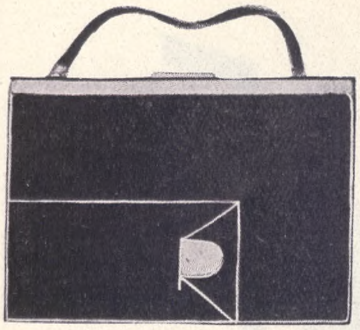


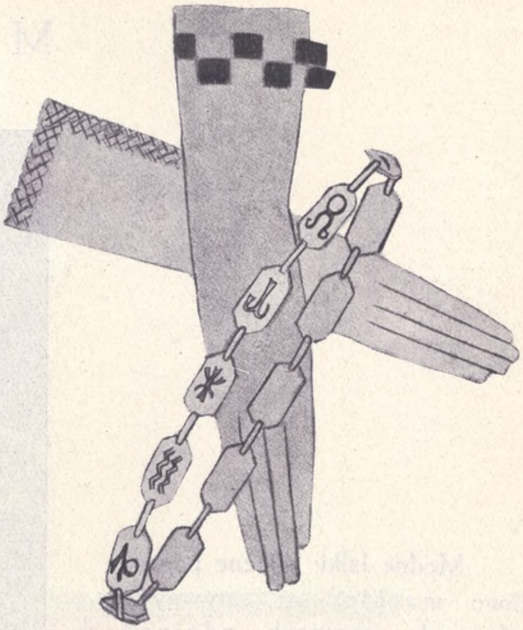


Pani H. K.

Fot. St. Brzozowski

MODNE DROBIAZGI

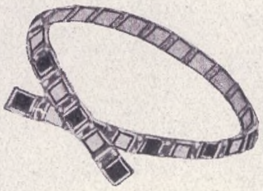




Elegancja proszę Pani to sztuka nielada. U nielicznych wybranek losu jest to instykt wrodzony, u większości innych rezultat długich, skupionych studjów. W każdym razie nie jest to czemś, coby się dało nabyć za największe nawet pieniądze. Najpiękniejszy kapelusz i najwykwintniejsza suknia, niewłaściwie połączone, mogą wywołać wrażenie fatalne.

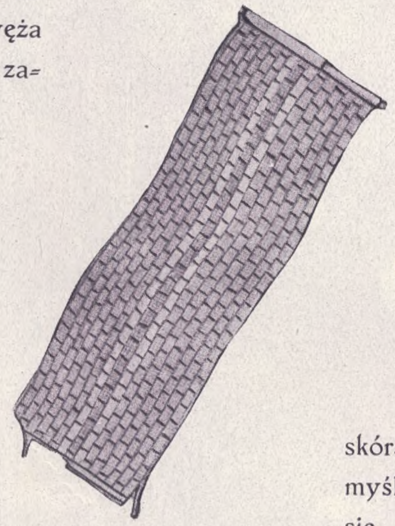
A nawet jeżeli jakaś przezorna firma wypuszcza od siebie klijentki w doskonale zharmonizowanym rynsztunku bojowym (czytaj: okrycie, suknia, kapelusz) to jeszcze zostają te drobiazgi, te niezliczone drobiazgi, któremi nielitościwa Pani Moda zdaje się egzaminować swe adeptki.

Torebka, szalik, rękawiczki, pończoszki, pendentif naszyjnik tylko błagam Panią, niech to nie będzie ów rozpaczliwy, beznadziejny sznur pereł sztucznych, na którym nawet powiesić się nie można, bo pęknie.



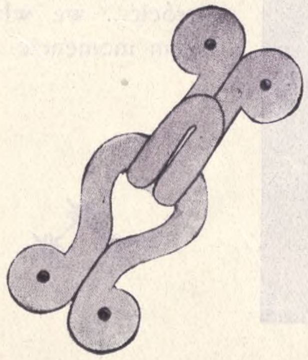
Zostawmy go na czas dłuższy kinematograficznym pięknościom. Swój może Pani ofiarować Marysi, o ile ta młoda osoba nie jest zbyt wybredną:

A Pani może włożyć na szyję złotego, lub stalowego węża (drugi dłuższy będzie służył zamiast paska) albo naszyjnik z pięknie szlifowanych kryształów. Wielkie bursztyny bujne chłopskie korale — oto naszyjniki piękne i nie obnoszone. Weneckie wyroby ze szkła cieszą się odecnie w Paryżu wielkiem wzięciem, a zatem niezadługo i u nas.

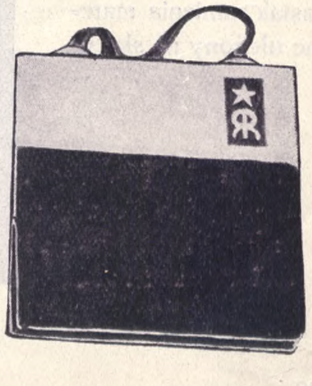


Mamy dwa nowe kroje szalików na szyję: jeden składa się z dwuch zczepionych końcami ukośnych chusteczek, drugi trochę przypomina krojem dziecinne śliniaczki, ma tę wielką zaletę, że zakrywa szczelnie przód sukni, co pozwala na nie troszczenie się o to czy suknia, lub bluzka harmonizuje z okryciem. Śliczną nowością są szaliki ręcznie malowane przezroczystemi farbami, subtelnie cieniowane. Zresztą ręczny hafti batik znajdują wdzięczne pole do popisu przy tych eleganckich drobiazgach.

Ulubionym fasonem torebki pozostaje kształt portfela. Rozmiary wahają się od formatu małej teczki, aż do notesika. Do okrycia najładniej wygląda taka torebka-portfel z glansowanej skóry. Może być inkrustowana skórą krokodylową, albo florencką, wyciskaną i złoconą w wymyślne arabeski. Przy sukniach strojnych, popołudniowych nosi się portfelik nieco mniejszy, wykonany gobelinowym ściegiem, lub też zrobiony z zamszu przybranego liworyzacją. Liworyzacja szczególnie ładnie wygląda na zamszu, to też widzimy całe komplety składające się z paska, mankietów, kołnierzyka i kieszonek, wykonane z liworyzowanego zamszu.



Do sukien balowych, torebka zmienia się w maluchne cacko z celuloidu, galalitu lub emalji, mogące w sobie zmieścić puderniczkę, ołówek do ust... słowem to co najważniejsze. Rękawiczki nie powinny być zbyt jaskrawe ani zbyt fantazyjne, najlepiej gdy harmonizują z kolorem pończoszek.



MODNE LALKI



Modne lalki: śliczne pogardliwe markizy w sztywnych taftowych robronach, zdające się nudzić na spiętrzonych poduszkach kanapy, melancholijne pierroty, o zwisających beznadziejnie, nadmiernie wydłużonych kończynach, śmieszne, kędzierzawe murzynki, zezujące filuternie, pluszowe niedźwiadki, dobroduszni i wierni powiernicy serdecznych tajemnic... Cudaczne, modne lalki, dziwolążki zrodzone z tęsknoty kobiet samotnych za dzieckiem. Ciężko przeważnie pracująca kobieta współczesna nie mniej kocha swoje skromne, dzisiejsze gniazdko, niż wspaniałe przedwojenne apartamenty. Nawet jednemu pokojowi, odnajmowanemu od gderliwej gospodyni, stara się nadać wygląd estetyczny i przytulny. Pstry pasiak zamienia materac ułożony na skrzyniach na wspaniałą tachtę. Pomysłowe poduszki, zrobione z resztek dawnych wspaniałości, zachęcają do siesty, malowane abażurki łagodzą ostrą jaskrawość elektrycznych lampek, a w ich cieniu czekają cierpliwie na powrót pani domu modne lalki, dobrotliwe i niewybredne potworki, niewymagające nawet tej pieczołowitości, jakiej potrzebuje piesek kot, a przecież nadające pustym ścianom odnajętego pokoju, charakter przytulny i zamieszkały. Są one jak dobre duszki strażujące u węzgłowia swej pani, niektóre z nich mają niezawodną właściwość przynoszenia szczęścia. A nawet, jak twierdzi jedna z moich najśliczniejszych przyjaciółek, potrafią się dyskretnie odwrócić... we właściwym momencie.



„Lalka"



Panie przy „ciężkiej" pracy...

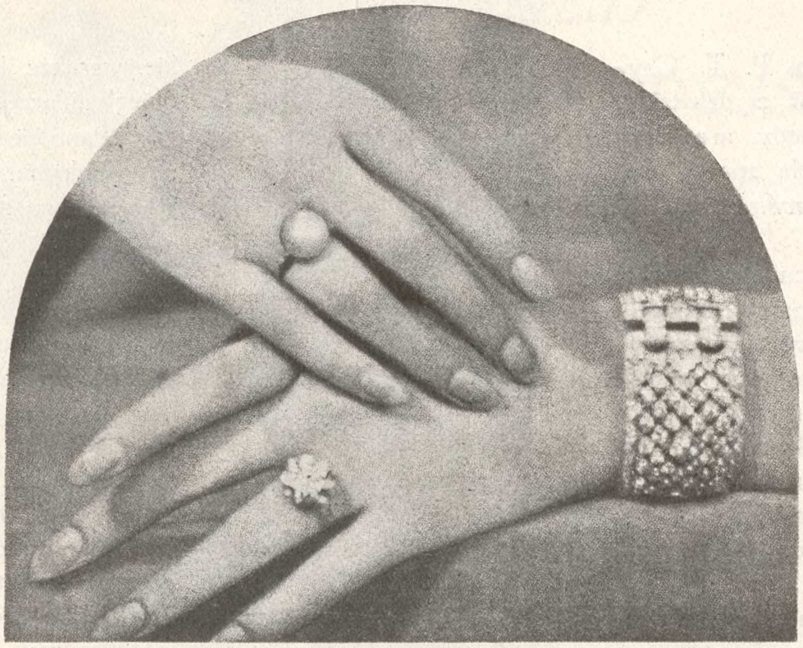


Kostjum wiosenny w r. 1930


LEICHNER
No 1001
Kąpiel Smukłości
jest zupełnie nieszkodliwym dodatkiem do kąpieli
„Z wielkiem zainteresowaniem wypróbowałam ostatni preparat Leichnera Nr. 1001 — t. zw. „Kąpiel Smukłości“ i z prawdziwą satysfakcją mogę WPanom zakomunikawać, że po kilkakrotnem zaledwie zastosowaniu tych kąpieli otrzymałam rezultaty wręcz zdumiewające. Długoletnie uprzednie eksperymenty z najróżnorodniejszemi specyfikami i systemami kuracji nie dały żadnych wyników, stosując zaś kąpiel WPanów osiągnęłam je w nieprawdopodobnie krótkim czasie. Ze szczerem zadowoleniem mogę również stwierdzić skutki działania preparatu WPanów pośród swoich najbliższych. Oświadczam niniejszem, iż będę jaknajusilniej propagować zbawienny preparat WPanów w najszerszych kołach swoich znajomych i wogóle tych, którym dobrze życzę“.
Warszawa. M. P.
Rozpocznijcie i Wy natychmiast kurację — rezultatem będziecie równie zdumieni!
Cena kąpieli Zł. 4.50.
LEICHNER
No 1001
HEILIGENSTAEDT
LEICHNER No. 1001

WINCENTY WABIA-WABIŃSKI

MODNA BIŻUTERJA



Dawniej, gdy nasze piękne, ale mniej kapryśne panie zadowolały się spokojnemi, jednobarwnemi materjałami dla swych strojów, wystarczała wąska bransoletka, lub pierścionek, o niewielkim kamieniu, aby strój ten ożywić.

Zmieniły się czasy: dzisiaj królują piękne, barwne, jakby żywe brokaty i bogato lśniące lamy. Na tle tych barwnych materjałów naszych Pań efekt wywołać może tylko biżuterja masywna, to też moda dzisiejsza w zakresie biżuterji nakazuje stanowczo szerokie bransolety i pierścionki o jednym, lecz wielkim, efektownym kamieniu. Pierwszeństwo mają szafiry i szmaragdy.

Trudno spodziewać się szerokiego spopuloryzowania tych bardzo efektownych, lecz równie kosztownych klejnotów. Wszakże szmaragd i szafir zaliczają się do kamieni najdroższych, albowiem nauka dotychczas nie wynalazła sposobu syntetycznego produkowania większych okazów.

Osoby, które stać na dostosowanie biżuterji do modnej sukni, znajdą niewątpliwie bogaty wybór wzorów, owoc wspólnego natchnienia jubilera i artysty-malarza. Pozostali śmiertelnicy poprzestaną na dotychczas używanych klejnotach, mimo postępu mody, zawsze estetycznych i wytwornych.



MĘSKI STRÓJ WIOSENNY

Pragnąc udzielić naszym P. T. Czytelnikom pewnych informacji z dziedziny, tak na wiosnę aktualnej, mody m ę s k i e j zwróciliśmy się do właściciela znanej pracowni krawieckiej p. *F. Ŝacha, przy ul. Chmielnej 34.*

Na wstępie p. Ŝach zademonstrował nam ostatnie nowości materjałów męskich, w które obficie zaopatrzył swoją pracownię. Dowiedzieliśmy się więc, że jeśli chodzi o kolory, to prym mają bronzowe i szaroniebieskie odcienie, aż do koloru pastelowego, ostatnie nadają się doskonale dla panów o cerze bladej. Bronzowy garnitur dobrze wygląda na dobrze zbudowanych figurach o zdrowej cerze.

Trzeba zawsze uważać, by spodnie przy jasnem palcie były ciemniejsze i naodwrót.

Strój codzienny — marynarkowy — w roku bieżącym niewielkiej ulegnie zmianie. Marynarka jednorzędowa, na 2 lub 3 guziki, będzie miała poły u dołu mocno zaokrąglone, wydatnio odsłaniające, a zatem «wydłużające» nogi.

Spodnie będziemy nosili nadal szerokie, wszakże bez praktykowanej w sezonie ubiegłym przesady.



Panowie słusznego wzrostu będą nadal nosili marynarki dwurzędowe, doskonale wyglądające na figurze szczupłej.

Ze stolic zachodniej Europy donoszą o powrocie żakietu w charakterze stroju wieczorowego. U nas narazie panowie zachowują jednorzędową marynarkę morengo lub czarną ze spodniami w jasne paski.

Przytem jasna kamizelka, utrzymana w jednolitym kolorze, nadaje całemu strojowi charakter wizytowy. Nie należy przy dwurzędowej marynarce nosić dwurzędowej kamizelki i naodwrót przy jednorzędowej marynarce — jednorzędowej kamizelki.

Palta wiosenne będą noszone dwojakiego rodzaju. Modne są szerokie reglany z nieprzesadzonym kloszem u dołu z materjałów przerabianych, czasem z wyraźną kratą.

Większe wzięcie jednak mają palta jasno-szare jednolitego koloru, zlekka wcięte, bez klosza u dołu, sięgające na 4 palce niżej kolana. Ten krój palt niewątpliwie utrzyma się i na jesieni.

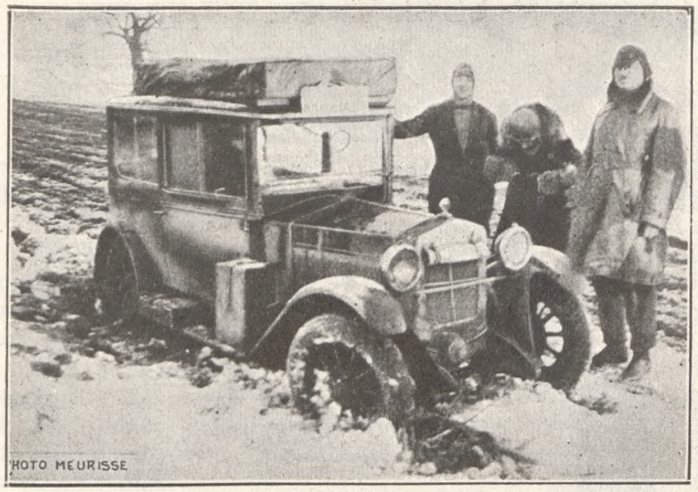
MODA WIOSENNA A TRYKOTAŻE

Tegoroczna moda wiosenna znalazła się pod wybitnym znakiem trykotaży. Jumpry, pulowery i całe komplety trykotowe t. zw. garsonki stały się obecnie zasadniczymi szczegółami toalety wiosennej. Moda trykotaży znajdzie swoje uzasadnienie w ich bezkonkurencyjnej praktyczności, przyczem niepoślednią rolę odgrywa tutaj również duch naszych czasów, przesiąkniętych nawskroś sportem.



Tegoroczne jumpry i pulowery są znacznie barwniejsze od zeszłorocznych, rysunki i kompozycje kolorów na nich są najzupełniej dowolne.

Na gruncie warszawskim, bodaj najlepszą wiosenną kolekcją z dziedziny trykotaży, może się poszczycić firma **Z. Mentzel — Marszałkowska 101 i Ś-to Krzyska 5.**



W drodze przez Rumunję

ZJAZD GWIAŹDZISTY

FIAT

MONTE CARLO

18-go stycznia 1928 r.



Obydwa pierwsze miejsca zajęły maszyny

FIAT mod. 509

na oponach **Englebert**

które w błocie i śniegu na wyboistych drogach Rumunji i Jugosławji wykazały nadzwyczajną wytrzymałość i znakomicie przyczyniły się do zwycięstwa.

Englebert



W drodze przez Jugosławję


PERFUMY
PUDRY
WODY
KOLOŃSKA
I KWIATOWA
MYDŁA
KREMY
ORAZ
ŚRODKI DO
PIELĘGNO=
WANIA
ZĘBÓW
EAU
DE COLOGNE
FR. PULS S.A.
HEL
PULS
FR. PULS S.A.
WARSZAWA WIERZBOWA 11
1928
T GRONOWSKI

— Załatwimy sprawę w cztery oczy — rzekła bez wstępu. — Mam tu dużo kobietek zamężnych, bardzo miłych...

Ourdinneau wzdrygnął się.

— Niema obawy — uspokoiła go pani Sollefouque, myląc się co do znaczenia jego odruchu. — One przychodzą wtedy, gdy mężowie są zajęci!... albo na wyścigach!

— Wrócę w tych dniach — zdecydował się nagle.

Pani Sollefouque pochwaliła ten zamiar. Nie należało forsować klientów. Częste były u nich te dziwactwa, zwłaszcza u nieśmiałych, którzy uciekali bezpośrednio przed faktem.

— Liczę na pana — rzekła, odprowadzając go. Zresztą lepiej będzie, jeżeli mnie pan zawiadomi... Znajdę panu śliczną, słodką kobietkę, dla której zaszczytem będzie poznanie tak pięknego, wytwornego pana! Do widzenia, drogi panie, wkrótce...

Wychodząc, potrącił na progu młodą kobietę.

— Czy nie wolałaby pani przejść się ze mną? — zaproponował jej.

— A nie zdradzi mnie pan przed „panią"?

— Za kogo mnie pani bierze?!

— Chętnie przejechałabym się. Tak dziś ładnie... Do lasku Bulońskiego, dobrze, proszę pana?

Mówiła „do lasku Bulońskiego", zamiast wprost „do lasku". Jakaś parafjanka. Była zresztą ubrana, jak skromna mieszczka, a wyrażała się, jak pokojówka. Wyglądała na żonę drobnego kupca, lub handlarza. Małe brylanciki w uszach i złoty łańcuszek na szyi... Czarne włosy, oczy żywe, usta czerwone i odrobinę południowego akcentu...

— Ale o siódmej muszę wrócić do domu.

— O, proszę, tylko żadnych historyj ze mną — rzekł Ourdinneau szorstko, wsiadając za nią do samochodu.

— Ja nigdy nie kłamię... Wiem, że prawie wszystkie panie... z ulicy Moscou... twierdzą, że są zamężne... Ja jestem wolna. A nawet jeśli chodzę do pani Sollefouque, to dlatego, że chcę być wolna... Mam przyjaciela... ale on się prawie nie liczy... niema o czem mówić... Nie mogę przecież żyć zupełnie sama i nie porozmawiać z kimś od czasu do czasu...

Ourdinneau żałował swego zaproszenia. Ale ona, jakgdyby odgadła w tej chwili jego myśli, położyła rękę na jego rękach. Nieśmiała ta pieszczota zjednała go. Obiad zjedli w hotelu Imperjal, w pokoju Ourdinneau. Bez kapelusza i płaszcza, z włosami lekko rozrzuconemi i śmiejącemi się oczyma, spodobała mu się bardzo.

— W eleganckim świecie należy się przedstawić! Ja jestem Simona Pelatz, a pan?

— Marceli.

— To wszystko? Gdyby mnie pan był spotkał o dwie minuty wcześniej, kiedy nie stałam jeszcze przed mieszkaniem pani Sollefouque, powiedziałby mi pan swoje nazwisko.

— Bardzo chętnie. Nazywam się Marceli Alban.

Czuła jednak, że nie miał dla niej zbyt wiele szacunku. Na myśl o tem rozpłakała się.

— Co mi się dziś stało! — przepraszała go. — Pomyśli pan, że jestem nieznośna. Ale gdyby pan wiedział, co się we mnie dzieje, czułby się pan pochlebiony.

— Musiała się pani nasłuchać dobrych historyjek u pani Sollefouque — przerwał jej Ourdinneau.

— Przychodzę... wychodzę — nie słucham.

— No tak, ale to nie zawsze jest przyjemne...

Czemu o to pyta? Co za brak taktu! Tu, w pierwszorzędnym hotelu, chciała grać rolę kobiety z towarzystwa.

— Tak, to niezawsze przyjemne.

Ideałem był dla niej ten imponujący pan. Marzyła zawsze o kochanku takim, jak Ourdinneau — poważnym, eleganckim, uroczystym. Nie powiedziała mu tego, ale zauważył, że była wzruszona. Ona zaś myślała ciągle o tem samem: gdybyś mnie był spotkał kilka minut wcześniej! Tylko, że prawdopodobnie, nie ośmieliłby się zbliżyć do mnie. Kiedy przy deserze chciał ją objąć, rzekła:

— Takby było ładnie z pana strony, gdybyśmy naprzód zostali przyjaciółmi.

On — przyjacielem kobiety! Roześmiał się na tę myśl. Ona natomiast doznała tak wielkiej przykrości, jakby brat lub ojciec wyrządzili jej przykry zawód...

— Tak, rozumiem, — pan nie ma do mnie zaufania. Gdyby pan zaufał mi choć trochę! Nie byłabym panu cię-

żarem... W Paryżu boję się wszystkiego. Nie jestem Paryżanką. Mieszkałam w Tours, może pan zasięgnąć informacyj. Miałam sklepik galanteryjny, ale zbankrutowałam. Mam w Paryżu siostrę, wielką modystkę — Marja Pelatz, firma „Mary". Pogniewałam się z nią. Po ślubie mój mąż zabronił mi widywać się z nią, bo miała kochanka, a nie miała pieniędzy i nie była jeszcze znana. Musiałam być posłuszna mężowi. Kiedy owdowiałam, siostra dała mi do zrozumienia, że muszę radzić sobie sama i że nie trzeba było traktować jej tak ostro. Zlikwidowałam wszystko i przyjechałam do Paryża. Spotkałam panią Sollefouque.

— Słyszałem o pani siostrze — rzekł Ourdinneau.

— Marja jest inteligentniejszą ode mnie — przypięła Simona. Ja jestem tylko taka sobie gosposia... I taka samotna...

— Ja też jestem samotny.

— Myślałam, że pan jest żonaty.

— Kto był pani dostawcą, kiedy pani miała swoją firmę?

— Langrolevent i S-ka i Fryderyk Fretu. Pan pracuje w tej branży?

— Nie... owszem... kiedyś... Miałem modele.

Zaczęli rozmawiać o handlu. Posadził ją na kolanach. Rozmawiali spokojnie, życzliwie, zadowoleni ze znalezienia tematu.

— Firma „Nigouroux i Kebac" ma najładniejszy tiul.

— Ale mało sztywny.

— Rozciąga się łatwo, ale jest ładny.

— Czemu się pani nie powiodło? Brak porządku?

— Porządek był, ale moja pracowniczka odeszła, żeby założyć własną firmę i odebrała mi klientelę. To tak zawsze z kobietami. A klientki zmieniają firmę bez powodu.

Ubrała kapelusz, wzięła parasolkę.

— Pani już odchodzi? Obraziłem panią? Dlaczego pani taka niedobra? Proszę się wytłumaczyć.

Poco się ma tłumaczyć? I tak jej nie uwierzy. Nie można wierzyć kobiecie, którą się spotkało u pani Sollefouque.

— Pani płacze?

Wspomnienia własnej przeszłości zbudziły tę mieszczankę z letargu, w który pogrążyła się bezwolnie.

— Lepiej niech mnie pan już puści.

Zatrzymał ją jednak i zaczął coś mówić o pieniądzach, o zapłacie. Zaczerwieniła się, jakby ją spoliczkował. Dziwne! A może jednak była szczera! Przecież trudno zaczerwienić się tak na rozkaz...

— Gdyby moja siostra chciała się ze mną pogodzić, możeby mi dała u siebie dobre zajęcie.

— Tymczasem proponuję pani przejechać się ze mną w stronę Toulon, obejrzymy mimozy...

— Mimozy? Na drzewach?

— Tak. A potem — morze.

Złożyła ręce w zachwycie.

— O Marceli!

Ourdinneau zrozumiał wtedy, co mówił Vincelon: że słodko jest słyszeć swoje imię. Jest to pieszczota, której najbardziej brak samotnym.

— Ale użyję sobie w miłości z panem!... — zawołała Simona.

Kochała go na swój sposób, z pokorą. Poprosiła o czterdzieści osiem godzin „narzeczeństwa", ażeby mieć czas na przygotowanie kufrów. Ourdinneau postanowił zawieźć ją do małej miejscowości na Coté des Maures, gdzie kiedyś spędził był tydzień z Walentyną. W ten sposób zemsta jego będzie całkowita. Simonę przerażały tak wielkie koszta. Usiłowała przekonać go, że na Montmartre są restauracje, gdzie można jadać za cenę sześciu franków od osoby. Wystarczyłaby jej też jedna nowa suknia. Zresztą miała wszystko, co potrzeba. „Chociaż bywałam u pani Sollefouque, nie jestem jednak kobietą sprzedajną" — mawiała nieraz. Chciała za wszelką cenę zdobyć jego szacunek i była mu zań wdzięczna, zważywszy okoliczności, w których ją poznał. Tam, zdala od Paryża odda mu się całą duszą. Cieszyła się, że pragnął jej gorąco. Drugiego dnia, żegnając go wieczorem, rzuciła mu odchodząc: „Moje biedne kochanie!" Ourdinneau drgnął. Te same słowa powiedziała mu raz Walentyna, gdy podczas narzeczeńskich czasów nie mógł się od niej oderwać. I wówczas także — jak dziś Simona — podała mu dłoń do ucałowania... Te same gesty. Te same słowa. A jednak gorycz jego ustępowała. Może Simona była właśnie towarzyszką, jakiej mu było potrzeba. Pożądanie zmieniło go. Nie poznawał siebie. Te dwa dni „narzeczeństwa" oczarowały go.

— Całe nieszczęście w tem, że kiedyś trzeba będzie wrócić — wzdychała Simona.

Obiecywał jej wówczas najpiękniejsze rzeczy na przyszłość. Ułożą sobie życie.

— Gdy pan pójdzie do pracy — mówiła mu — ja zajmę się gospodarstwem. Bardzo to lubię. Gdy byłam małą dziewczynką, bawiłam się w robienie porządków... Zabawką było dla mnie piórko do kurzu, szczotka, szmatka...

Dowiedziawszy się, że był kapitalistą, podskoczyła z radości:

— Więc będzie pan mógł wciąż być ze mną! To za wiele szczęścia! Boję się.

Przez cały czas podróży obejmowali się czule, nie gorsząc tem zresztą nikogo, gdyż Simona wyglądała jak młoda mężatka, nieśmiała, skromna, ale upojona miłością. Przybywszy na miejsce, wpadli w zachwyt przed morzem lśniącem i rozognionem niebem.

— Co to za morze? — spytała Simona naiwnie.

A gdy jej powiedział, spytała jeszcze:

— A jakie niebo?

Ourdinneau roześmiał się.

— To przecież niemożliwe — zauważyła Simona — ażeby wszędzie było to samo niebo!

Od gospodarza, który witał ich we drzwiach, Ourdinneau zażądał dużego pokoju z tarasem.

— Szanowny pan już był kiedyś u nas... zdaje mi się — rzekł gospodarz.

— Owszem... dawno.

— A gdzie mimozy? — zawołała Simona.

— O tej porze mało ich jest — zauważył gospodarz.

— Śpieszmy się! — naglił Ourdinneau. — Chciałbym odpocząć.

Nie był zmęczony, ale śpieszno mu było znaleźć się tam, gdzie kochał Walentynę. Opanowało go zniecierpliwienie, uniesienie, które tak niegdyś przerażało jego żonę. Objął Simonę, gdy tylko znaleźli się sami. I w oczach tej kobiety wyczytał to samo pokorne zaniepokojenie, które widział był w oczach Walentyny.

— Zaraz przyniosą nasze rzeczy. Wyjdźmy na taras, ukochany... Popatrzmy na morze — szepnęła.

Kpił sobie z morza. Nie poto tu przyjechał. Ale poto, żeby zabić w sobie wspomnienie o tamtej.

— Pragnę cię!

— Zaczekaj! Takie piękne niebo i morze!

Zaklął i puścił ją. Walentyna również powiedziała: „Takie piękne!..." w Lucernie... Ourdinneau zamknął okiennice.

— Och! — westchnęła Simona — co pomyślą ludzie hotelowi?

Nadzwyczajne! Znowu słowa Walentyny.

— Jeżeli ci się nie podobam, to możemy się jeszcze rozejść — oświadczył sucho.

— Jeżeli mi się nie podobasz! Ależ ubóstwiam cię!... Nie gniewaj się... Ubóstwiam cię, przysięgam. Przysięgam ci na życie mojej siostry, którą kocham, pomimo, że źle ze mną postąpiła... Słuchaj, trochę mi tu jeszcze obco i trochę smutno z nadmiaru szczęścia... Kobieta, to przecież dziwne stworzenie... Obejmij mnie... To nie moja wina... Gdy jestem szczęśliwą, myślę zawsze o tem, że kiedyś to się skończy... Uspokój się, drogi...

Ze wszystkich sił przyciskał ją do siebie. Krzyknęła... I stała się w jego rękach bezwładna jak ptak, zbierający pocichu swe siły, aby odlecieć w chwili, gdy trzymająca go ręka zwolni swój uścisk. Z dziką pasją ucałował jej usta. Odrzuciła wtył głowę i poprzez szparę przymkniętych okiennic ujrzała niebieskie, gorące niebo, o które był zazdrosny.

Czekał na jej przebudzenie. Spała z rozrzuconemi włosami, chwilami wzdychając. Ourdinneau wypalił papierosa na tarasie, w tem samem miejscu, skąd pięć lat temu oglądał z Walentyną wschód słońca. Teraz myślał tylko o tej kobiecie, śpiącej tam, w pokoju. Była mu potrzebna ona, jej pocałunki, zapach jej perfum. To przecież nie tak trudne: jedna ginie, druga zastępuje ją, byle która. Starał się nie wspominać więcej Walentyny. Uspokojony zmysłowo, nie mógł już nienawidzieć jej. Otworzył okiennice.

— Ach, co za szkoda! — rzekła Simona

Niebo było szare, morze żółte.

— Więc nie codzień jest tutaj pogoda? — skarżyła się.

— Kochasz mnie?

— Tak.

— Znam prosty i niezawodny sposób, ażeby zawsze była pogoda...

Zamknął okno i wsunął się do łóżka.

— Zostaniemy tu przez cały tydzień? — spytała Simona.

— Całe życie, jeżeli zechcesz. Nie jest dobrze?

— Owszem...

— Jesteśmy wolni...

— Wolni...

— Kochasz mnie?

— Tak.

— Tak wyglądasz, jakgdybyś czego żałowała?

— Ja? Mój Boże! Czegóżbym mogła żałować?

Gdyby powiedziała mu, że żałowała tych dwóch dni „narzeczeńskich" w Paryżu, kiedy był tak dla niej serdeczny, pomyślałby, oczywiście, że zwarjowała. Teraz — on rozkazywał, a ona — słuchała, tak jakby to było u pani Sollefouque. Było gorąco. Podczas upałów w Paryżu lubiła wieczorem być sama.

— Będziemy robić wycieczki, mój drogi?

— Później, mamy czas. Muszę się najpierw tobą nadelektować.

O trzeciej po południu wyjechali na spacer. Trzymał ją pod rękę.

— Połamiesz mnie! Nie znasz swojej siły — żartowała Simona.

Znowu — mniej więcej to samo, co mówiła Walentyna. Tak wszystko: to samo tło, te same słowa, niemal ta sama kobieta. Tylko że Walentyna nienawidziła go, a ta— kochała. Był tego pewny. Przyglądała się krajobrazowi. Nie zajmowała się nim w tej chwili. Już taka jest miłość... — pomyślał. Simona poprosiła, żeby obiad zjeść w ogrodzie. Przy sąsiednim stoliku siedziała jakaś starsza pani.

— Bądźże rozsądny, mój drogi — błagała Simona.

Z powodu tej staruszki zachowywała się z ogromną rezerwą. Srebrzystopopielaty dzień omdlewał ze słodyczy...

— Nic nie mówisz? — odezwał się Ourdinneau.

— Cóż ci mam powiedzieć? Wiesz wszystko o mnie, a ja o tobie — nic.

— Nie mam o sobie nic do powiedzenia. Urodziłem się wczoraj o godz. 9-ej rano w hotelu de la Plage, w pokoju Nr. 2.

— Wykręcasz się... Nie, to nie. Nie będę się pytała. Nie mam prawa.

— Prawa?

— Nie gniewaj się.

— Masz mi co do zarzucenia?

Nie miała mu nic do zarzucenia, ale już nie mówiła mu o swej wdzięczności. Wyrównała rachunek. Tak samo Walentyna nazajutrz po ślubie uważała go za zapłaconego wierzyciela.

— Jesteś tu panem — dodała. — Nie zwracaj uwagi na głupstwa, które mi przechodzą przez głowę.

Ourdinneau zażądał wina i zmuszał ją do picia. Zaczynał się czuć pokonanym i w tej biednej istocie przewidywał już wroga.

— Niebardzo bawisz się ze mną, co? — spytał.

— Ależ tak, proszę pana — odparła w roztargnieniu.

Odpowiedziała tak, jakgdyby była u pani Sollefouque, jakby znajdowała się w towarzystwie jednego z tych mężczyzn, którzy wymagali, żeby — poza wszystkiem — była jeszcze wesoła.

— Przepraszam cię, Marceli — poprawiła się.

— O czem myślałaś?

— O, wiesz, ja upijam się jednym kieliszkiem...

— Ta staruszka już poszła...

— Tak? Nie zauważyłam...

— Chcesz koniecznie deseru? Pewnie jest niedobry... Chodźmy na górę.

— Marceli, gdybyś chciał być bardzo miły...

— Poszlibyśmy jeszcze na spacer?

— Niedaleko.

— Jest także kino w mieście — poddał jej.

Klasnęła w ręce.

— Chodźmy tam, Marceli.

— Pójdziesz ze mną do pokoju! — huknął wówczas Ourdinneau — natychmiast, słyszysz, natychmiast!

Skuliła ramiona.

— Jak ty do mnie mówisz!

— Nie chcesz być sama ze mną...

— Wmawiasz sobie... Szukasz umyślnie przykrości... Ja, wiesz, jestem trochę dziwna... Mam swoje myśli... Musisz mnie wziąć taką, jaką jestem... Odkładam zawsze to, co sprawia mi największą radość... Chcesz, dam ci przykład: gdybyś przysłał mi piękny list miłosny, patrzałabym na list długo, zanimbym go otworzyła.

III.

Wrócili do Paryża. Ourdinneau wynajął jej mieszkanie umeblowane przy ulicy de Berri. Cierpiał tam przez tydzień. Miłość ich gorzkniała z dnia na dzień. Nie miał nic do roboty i nie odstępował Simony na krok. Chodził z nią po sprawunki. Narzucał jej swą obecność. Codzień powtarzał jej: „Pilnuj się, bo inaczej wrócisz do swego bagna". Aż pewnego wieczora, zmęczona rolą, którą przy nim odgrywała, odpowiedziała mu głosem, którego dotąd nie znał, głosem ostrym i wulgarnym sklepikarki, beształącej klijenta:

— Do mego bagna! Łatwo to mówisz...

— Masz może inną nazwę dla domu pani Sollefouque?

— A jeśli wolę bagno od nudów? — wybuchnęła.

Ale natychmiast powstrzymała się.

— Nie, nie, mój ukochany; powiedziałam to w uniesieniu, ale nie myślę tego, przysięgam ci na wszystko, co mam świętego. Musiałabym być chyba idjotką... Jesteś tak dobry dla mnie!

— Mów prawdę! — zażądał.

— Ależ mówię ci prawdę!... Ubóstwiam cię, mój najdroższy...

— Proszę o prawdę, szczerą prawdę, a dam ci pięć tysięcy franków i jesteś wolna. Pięć tysięcy franków.

Przyzwyczaiła się, że traktował ją, jak kobietę z towarzystwa. Obraziła się. Prawdę mówiąc, miała już dość tego wszystkiego...

— Tak? Dobrze. Dam ci szkołę! Za darmo! słyszysz, za darmo!... Zaczekaj trochę... Powiem ci czem jesteś: cham, wstrętny cham!... Nietylko dość mam ciebie, ale brzydzę się tobą! Gdy dotykasz mnie, mam ochotę krzyczeć... Tak, tak, zapłaciłeś mi... a nawet dodałeś do tego szacunek... Domyślam się, co mi teraz powiesz! Wiecznie to samo pytanie: „Co mi masz do zarzucenia?" Wszystko! Wolałam już klientów... tam!... Tak klientów! Z nimi przy-

najmniej wszystko było szczerze. A potem — dawali mi spokój! Czy nie wiesz, że kobieta, każda kobieta jest czemś więcej, niż narzędziem? Wstrętny cham!... Założyłabym się, że byłeś żonaty i zdradzony... Tak, powiedziałam to! Nie przestraszysz mnie twojemi oczami! Co ci mam do zarzucenia? Wszystko! Ach, nie domyślasz się nawet, czem jest kobieta, która zaczyna kochać. Jestem, czem jestem. To cię nie obchodzi. Mam prawo mieć swój wstyd. Właśnie dlatego, że cię kochałam. Inaczej — byłoby mi wszystko jedno. Masz same zalety, prawda? Jest tylko coś, czego ci może dotychczas nikt nie powiedział: że bierzesz kobietę, jak cham. Ma się ochotę krzyczeć, bić cię, gryźć, a przedewszystkiem — zdradzać cię, ach! zdradzać cię z kimś łagodnym, delikatnym. Ale cóż? Nie oddalasz się ani na krok! To nie w moim guście. Wolę sobie iść. Myślałam, że miałam do czynienia z człowiekiem serca. A jakże! Dobrze było przez dwa dni — przedtem... Myślałam, że wstępuję do raju! Ale jeżeli to jest miłość, to... wolę — nie wiem co? — być służącą i kłaść się sama po robocie. Pan nie rozumie? Kłamano panu za pieniądze! Kochałam cię, tak! A potem — znienawidziłam cię. Gdybyś mi obiecał nawet miljon, nie zostałabym z tobą ani minuty dłużej. Jestem szczera i jeżeli chcesz wiedzieć, wracam do mego przyjaciela. To biedny człowiek. Opowiadam mu rozmaite kłamstwa, ale on wie, co robię, i cierpi... Nie jest piękny, nie jest młody ani elegancki, ale przynajmniej — nie brzydzę się nim... Czego szukasz? Może mnie chcesz zamordować? Na pomoc!

— Szukam twoich pięciu tysięcy franków.

Dyszała ciężko, otarła czoło i szepnęła:

— Nie wiem, co mi się stało... Jakbym oszalała...

— Weź...

— Dziękuję ci. Chciałabym mieć pewność, że cię zbyt głęboko nie uraziłam. Kobiety są nerwowe. Nie mogliśmy się porozumieć, ale to nie powód, żebyśmy się rozstali rozgniewani. Dziękuję ci za pięć tysięcy franków. Czy możesz mi poradzić? Chciałabym je ulokować u mojej siostry. Miałabym sposobność, żeby ją zobaczyć. Jeszcze raz przepraszam cię. Co mi się stało? Naturalnie, przesadziłam.

— Idź precz!

— Jestem nerwowa, rozumiesz?...

— Tak.

— Mówi się rzeczy, których się potem żałuje...

— Tak. Idź precz!

— ... i których potem nie można cofnąć.

— Żegnam.

— Może „do widzenia"?

— Może.

— Niech mi pan powie jeszcze, że pan nie ma do mnie żalu i odejdę zadowolona.

— Nie mam żalu.

— To słońce... tam... zmieniło mnie. Znowu jestem, jak młoda dziewczyna. A pan wie, że młoda dziewczyna w pierwszą noc poślubną... Zresztą!...

— Tak, żegnam, żegnam...

*

— Roger!

— Panie?

— No co, odmawiasz mi uściśnięcia ręki?

— Nie.

— Byłem bardzo nieszczęśliwy.

— Zapewne...

— Byłem niesprawiedliwy wobec ciebie. Spójrz na mnie...

— Nie jesteś już nieszczęśliwy?

— Spójrz na mnie...

Ourdinneau czekał był na Vincelona, gdy ten miał wyjść z ministerstwa. Zobaczył jego żałosną i zaniedbaną postać i zbliżył się doń.

— Gniewaliśmy się sześć miesięcy. To dosyć! Co robisz dziś wieczorem?

— Nic. Wyjeżdżałeś z Paryża?

— Podróżowałem trochę. Ach, mój biedny przyjacielu. Jakże zbędne są podróże dla tych, którzy nie wiozą szczęścia w swoim bagażu... Byłem na południu, dwa miesiące spędziłem w Holandji, dwa miesiące w Anglji. Chciałem przeprowadzić się, szukałem nowego mieszkania, wkońcu — wróciłem poprostu do siebie. Znajdziesz wszystko na swojem miejscu. Tak jak było tego wieczoru, tego wieczoru... Poco zmieniać?

Kiedy przyszli do mieszkania, Vincelon — blady — chwycił się za serce. Rzeczywiście — wszystko tak samo, ale nic nie zostało z Walentyny. Było to opuszczone, kawalerskie mieszkanie. Weszli do gabinetu, potem do pokoju jadalnego, gdzie bez apetytu zjedli obiad. Nowa pokojówka spytała:

— Czy mogę podać kawę w małym saloniku?

„Mały salonik" — to dawny buduar Walentyny. Ale pokojówka zapaliła żyrandol. W tem oświetleniu Vincelon nie poznał dawnego buduaru. Po wyjściu służącej Ourdinneau zgasił żyrandol i zapalił lampkę.

— A teraz — zaproponował — proszę cię, Rogerze, pomówimy o niej. Patrz, niema już we mnie złości... Przez sześć miesięcy tak wiele rozmyślałem!... Muszę się dowiedzieć... Słuchaj, Rogerze, ty jesteś wrażliwy, uczuciowy... Widzisz rzeczy, których ja dostrzec nie mogę... Czy ona była... naprawdę bardzo nieszczęśliwa? Nie pytam cię o nic. Jeśli zwierzyła ci się z czemkolwiek, nie możesz mi tego powtórzyć... To byłoby niegodne... Nie odpowiadaj mi, jeżeli uważasz, że nie powinieneś...

— Nie zwierzała mi się nigdy. Nieraz, widząc jej smutek, starałem się ją wybadać. Odpowiadała mi: „Nie jestem zajmująca, mój przyjacielu". Skarżyła się na swoje nerwy...

— A ty, co o tem myślałeś?

— Mówiła ze mną o przeszłości, zwłaszcza o tych czasach, kiedy była jeszcze biedna... i o waszem narzeczeństwie. Domyślałem się w niej jakiejś tajemnicy. Myślałem, że kiedyś odejdzie tak, jak przyszła, zostawiając klejnoty, komfort, dla niezrozumiałych przyczyn... Była jakby zraniona... Siedząc nawet tu, przy ogniu, drżała z zimna. Raz spytałem ją: „Czy masz może co do zarzucenia Marcelemu? Jestem przecież pewny jego wierności!" Widzę ją jeszcze. Słyszę, jak odpowiada mi: „Mogę tylko skarżyć się na samą siebie". Tego dnia, gdy mi to mówiła, nie znała jeszcze... tamtego... to jest... Pleige'a. Skarżyła się na brak wesołości: „Jako młoda panna byłam bardzo wesoła..."

— Tak, była jak w potrzasku...

— Myślałem, że między wami istnieje jakieś nieporozumienie... fizyczne.

— Tak? A z czego to wnosiłeś?

— Z niczego, takie tylko wrażenie... A zresztą... Poco poruszać to znowu? Ty cierpisz, Marceli. Słuchaj, przecież gdyby między wami był jakiś konflikt fizyczny, nabrałaby wstrętu do miłości.

— I nie byłaby mnie zdradziła?

— Zapewne. Kochała cię...

— Kochała mnie może dawniej, przedtem... Innym człowiekiem jest narzeczony, innym mąż... Tak, powinna była być uczciwa, opuścić mnie, odejść. Ale wiedziała dobrze, że odchodząc, zabiłaby mnie... Widzisz, szukam dla niej wytłumaczenia... Tak, wiedziała, że nie zniósłbym tego, żeby żyła zdala ode mnie... Była mi potrzebna... To wspaniałe... wstrętne... Była mi potrzebna! Teraz, widzisz, zdaje mi się, że ją prześladowałem... Pomału wyjdzie prawda na wierzch. Gdy człowiek jest zraniony śmiertelnie, zanika w nim czucie i rozum... Potem rana zasklepia się nad czemś, co podstępnie wdarło się do wnętrza... Litość... Już nie mogę... Dusi mnie to... Lituję się, lituję się nad nią. I zdrada już się nie liczy... Trzeba wkońcu zrozumieć wszystkie uczynki dobre i złe osób, które się bardzo kochało... Ona szukała serdecznej... serdecznej miłości... I tu leży powód... Kobieta żyje tylko dla miłości. To głupie, ale myśmy je takiemi zrobili... Najlepsze i najgorsze szukają serdeczności w uczuciu... Oprócz kilku warjatek. A nie znają się na serdeczności, wypływającej z czynów, na serdeczności niemej... Potrzeba im słów i tych wszystkich uroczych kłamstw, w które ludzie sprytni obwijają swoje pożądania... Ja... byłem tylko biednym człowiekiem... a ona biedną kobietą!... Wiadomo, że biedni męczą się wzajemnie. Może z innym byłaby szczęśliwa... Myślałem, że to Pleige zaprowadził ją tam... gdzie widziałem ją po raz ostatni. Nie, nie... to ja, tylko ja... W Morgue skonfrontowano mnie z moją ofiarą... I nie uczułem wyrzutów sumienia, nie. Przeciwnie! Nawet radość! Nawet uczucie wyższości! Idjota! Oddała się Lucjanowi, ażeby wracać do mnie taką, jak inne kobiety... zrezygnowaną kłamczynią. On był zręczny, uczył ją stwarzać sobie szczęście według przepisów większości ludzi... To tak... Istota słaba, która ze zdrady czerpała siły... A ja brałem swój teror za siłę... Gdyby była miała jakie zadanie do spełnienia, albo dziecko do chowania! Mężczyźni zawiedzeni w miłości znajdują ukojenie, chronią się w pracy... I dlatego, widzisz, mówiła z tobą o tych czasach, gdy była biedna... Kobieta stworzona jest dla jednego mężczyzny. Jeśli go nie spotka, wszyscy inni brudzą ją. Nie byłem jej przeznaczony... Ani Pleige... Ale oddała mu się z mojej winy... z mojej winy... Tobie, który ją kochałeś, tobie chciałem to powiedzieć, Rogerze...

Umilkł. Vincelon ujął jego rękę i ściskał ją. Spojrzał nań. Marceli schudł, zbrzydł, ale na twarzy jego, dawniej twardej i zadowolonej, jaśniał teraz łagodny blask.

*

— Ta pani nie chciała powiedzieć swego nazwiska.

— Niech wejdzie!

„Pewnie Simona wydała już swoje pieniądze i przyszła prosić o nowe" — pomyślał Ourdinneau. Ale w tej chwili skoczył na nogi i znieruchomiał. Pani Pleige stanęła przed nim. Była bardzo ładnie ubrana. Oczywiście, nie miała przecież powodu nosić żałoby po Walentynie. Miała suknię jedwabną, czarną, ozdobioną koralowym aksamitem, czarny kapelusz z rajerami, białe rękawiczki, parasolkę z bursztynową gałką, jedwabne pończoszki i pantofelki z czerwonemi klamrami. Była uszminkowana starannie i uśmiechała się blado. Ourdinneau wyobrażał ją sobie zawsze w ciężkiej żałobie i zrozpaczoną.

— Przypuszczam, że nie jesteśmy wrogami — zaczęła. — Przychodzę do pana z prośbą...

Patrzał na nią uważnie... Patrzał zwłaszcza na jej ręce, na prawą rękę, odzianą w białą rękawiczkę...

— Czego pani sobie życzy?

— Zachował się pan wspaniale podczas rozprawy. Jesteś pan mężczyzną. Przez delikatność, nie podziękowałam nawet panu. Przypuszczałam, że widok mój nie będzie dla pana przyjemny... Dzisiejszy mój krok kosztuje mnie bardzo wiele, niech mi pan wierzy! Ale mam do czynienia z człowiekiem silnym, który myśli prosto i działa konsekwentnie. Padła jedna ofiara. Pokój jej! Odpokutowała. Niech mnie pan zrozumie, panie Marceli! Przypuszczam, że masz pan do mego męża śmiertelną urazę. Na pańskiem miejscu... Ale to tak trudno powiedzieć... Jestem tylko słabą kobietą. Pan tu stoi... nie pomagasz mi... Po... po dramacie... Lucjan... mój mąż uciekł... Mieszka zagranicą... ja jedna tylko wiem, w jakim kraju... Tak, korespondujemy dość regularnie... O, ja go nie bronię! Zawinił ciężko... Ale przysięgam panu, panie Marceli, że Lucjan nie jest normalny!... Nie... jego babka umarła w zakładzie dla obłąkanych... On nie jest całkowicie odpowiedzialny... Wiem o tem! Żyłam z nim piętnaście lat... To nieszczęśliwe dziecko, wpół obłąkane... Ale ja, bez niego, jestem jak bez duszy... Pogodziliśmy się listownie... Jednem słowem, chciałby wrócić... To wygnanie doprowadza nas do ruiny... Ale on nie śmie... Jest słaby... Powiedzmy wprost... jest tchórzem... Nie śmie wrócić z powodu pana... Boi się pana... Boi się, że może kiedyś spotkać się z panem, i że wówczas... Przychodzę więc zapytać, jakie są pańskie intencje? Niech mi pan wybaczy. Proszę pomyśleć, że piętnaście lat...

— Proszę żyć z tym panem, gdzie tylko pani zechce!

— Czy to aby pewne?

— Chce pani gwarancji?

— Wierzę panu. I podziwiam pana coraz więcej. Pięknie jest, żeśmy przebaczyli oboje...

— Ostatecznie, wszystko jest dobrze, co się dobrze kończy, nieprawdaż?

— Nie mówmy...

— Ależ przeciwnie, mówmy o tem...

— Przepraszam pana, ale muszę...

— Śpieszy się pani zatelegrafować do Lucjana: „Sprawa załatwiona. Wracaj!" Ma pani czas! Ja nie mogę depeszować do Walentyny: „Wszystko załatwione. Wracaj".

— Nie mamy już nic do powiedzenia, prócz rzeczy, które nas bolały.

— Żyję tylko dla rzeczy, które mnie bolą. Niech pani nie odchodzi. Jest jeszcze jeden punkt niewyświetlony. Gdy pani weszła tam, czy Walentyna zawołała: „Przebacz mi, Tereso"?

— Nie! Krzyknęła: „Marceli, przebacz..."

— Tak?

— Gdyby była krzyknęła: „Tereso, przebacz mi", może nie byłabym strzelała... Przyszłam wprawdzie z tym zamiarem... Ale pomiędzy zamiarem a wykonaniem... No, dość tej komedji... Sto razy powtarzał mi pan, że na mojem miejscu postąpiłbyś tak samo... Byłeś pan bardzo zadowolony, że pomściłam pana, bez żadnego ryzyka dla pana. Indagujesz mnie pan, jakgdybyśmy znowu byli na rozprawie. Pan ich nie widziałeś, w tym pokoju!...

— Czy ona miała jakieś listy przy sobie?

— Tak.

— Co pani z niemi zrobiła?

— Zniszczyłam je.

— Co pani z niemi zrobiła?

— Zapomniałam...

— Broniła się przeciw Lucjanowi, jestem tego pewny...

— A widzi pan, że ma pan jednak urazę do Lucjana! Oszukałeś mnie pan przed chwilą... A więc oświadczam panu, że będę go broniła!... Słyszy pan?... To ona go wciągnęła. Był przecież ze mną bardzo szczęśliwy. Więcej niczego się nie domagał.

— A tymczasem Walentyna?...

— Dość tego... Nie powiem już ani słowa. Proszę pana, późno już jest, po raz ostatni żądam, ażebyś mnie pan stąd wypuścił! Niech pan nie próbuje zrzucać teraz wszystkiego na Lucjana. To się panu nie uda.

Ourdinneau nie ruszył się. Stał spokojnie, zamyślony... Widział... tam... ciało Walentyny... Okropną ranę na twarzy i rękę, tę biedną rączkę, którą prawdopodobnie podniosła w obronie. Wzrok jego przylgnął do ręki żywej, ubranej w białą rękawiczkę, zaciśniętej na gałce od parasolki...

— Gdy się jest mężem takiej...

Pani Pleige nie dokończyła. Ourdinneau chwycił ją za gardło, potrząsnął tylko modnie ubranym manekinem, ze śmiesznym kapeluszem, kiwającym się na głowie, z rozrzuconemi włosami na twarzy tak umalowanej, że nawet śmierć nie zmieniła jej różowej barwy. Chciał zwolnić uścisk, ale opanowany szałem sprawiedliwości, wpijając paznokcie w ciało swej ofiary i patrząc w jej oczy już mętne, powtarzał.

— Zginęła bestja... Zginęła bestja, która zabiła...

BRUNO WINAWER

PRZEPISY

Niektóre proroctwa stanowczo się spełniają i czasem bardzo spokojni, trzeźwi ludzie zupełnie trafnie odgadują przyszłość. Twórcy bajek arabskich przeczuli telewizję i radjo, Verne opisał dokładnie łódź podwodną i samolot. Mógłbym przytoczyć takich przykładów znacznie więcej, ale nie chcę się chwalić erudycją i wykształceniem przy lada okazji. Zacytuję tylko jeden jeszcze fakt z historji literatury nowożytnej: przewidziałem wojnę światową w «Losach Europy», granych już w roku 1913. Nawet smutnej pamięci Sarajewo figuruje w tym utworze, pod trochę tylko zmienioną nazwą. Jak powszechnie wiadomo — albo i nie — bohater mojej sztuki, Karapetkowicz, daje Lohengrinowi w pysk w niejakiem Saradżewie (tak się podówczas nazywał «konjak krajowy») i to wywołuje groźny konflikt dyplomatyczny, wymianę not, mobilizację... Porzućmy te tematy ponure. Nie o to chodzi.

Chodzi raczej o to, że wszyscy fantaści, prorocy, wróżbiarze i jasnowidze zawodzą na jednym punkcie: mówią dorzecznie o przyszłych stosunkach społecznych i majątkowych, o środkach lokomocji i odżywianiu, ale nikt nawet nie próbuje wyobrazić sobie, jak będzie wyglądała kobieta w przyszłości. Niektórzy powieściopisarze ubierają tę damę z roku 2928 w długie powłóczyste szaty, spięte paskiem na biodrach, ale nie mówią wyraźnie, czy owa szata ma być

z «krepdeszynu» czy z muślinu, nie podają szczegółów bliższych, zbywają byle czem pasek, sandały, fryzurę, nie wspominają o biusthalterze i reformagh.

Mojem zdaniem mają rację. Czytałem niedawno jakąś powieść francuską z przed lat — powiedzmy — dwudziestu.

Nieszczęśliwy wydawca wpadł na pomysł dziwaczny i zilustrował ów romans zdjęciami «z natury». Widzimy tedy na fotografji kobietę demoniczną, Amelję czy Klementynę. Nikt jej się oprzeć nie może, każde jej spojrzenie wznieca pożary i zostawia zgliszcza i popieliska. Amelja-Klementyna ma kapelusz, większy od dzisiejszego spadochronu, rękawy z bufkami i tułów tak ściśnięty pewną konstrukcją żelazno-betonową, że widok uroczej uwodzicielki budzi w człowieku litość i przyprawia go o migrenę i ból zębów.

Widziałem też w jakimś miesięczniku starą podobiznę słynnego ongi księcia Walji. Głośny elegant wygląda w kusym, lamowanym żakieciku i w zawadjackich meksykańskich portasach, jak prowizor farmacji z dalekiego Sandomierza. Jest rzetelnie śmieszny, ale nie biegalibyśmy za nim, gdyby się dziś ukazał na wyścigach albo przed Loursem. Zato wytworne damy z jego epoki... Nie! najgenjalniejszy fantasta nie zdołałby wtedy przewidzieć, że już w roku 1928 kobieta będzie nosiła krótką suknię (bez trenu), krótkie włosy ku rozpaczy Anny Csillag i że postrada nagle — jak ręką odjął — wszystkie fiszbiny i turniury. Wróżbita mógł w ekstazie i w transie wizjonerskim odtworzyć przyszłe dzieje narodów, ale rzucić promień światła na dalsze losy obcasów i koków?

Tych rzeczy nie odganiemy niddy. Dekolt przyszłości osnuty jest gęstą mgłą tajemnicy.

Sprytny powieściopisarz omija starannie te kwestje i nie angażuje się zbytnio. Ale autor młody, niedoświadczony nie panuje nad sobą ani nad piórem, nie widzi niebezpieczeństwa i wpada w pułapkę. Lat temu kilkanaście pisałem pierwszą swoją sztukę — dramat liryczny. Wśród wielu zdań niepotrzebnych umieściłem jeszcze i to jedno, najgorsze: *Ona* jest stanowczo blondynką. Aktorka w teatrze, który moją sztukę wystawiał, miała włosy czarne, bardzo nawet czarne. Na próbach nie było mowy ani o polocie poetyckim mojego dzieła, ani o napięciu, ani o niczem. Rozstrzygaliśmy wszyscy razem i ciągle w kółko jedną tylko sprawę: ma włożyć perukę, czy też grać «we własnych włosach». W poniedziałek zrana mówiono do niej w kulminacyjnej scenie drugiego aktu: «po nocach śnią mi się pani krucze sploty», a nazajutrz trzeba to było zmieniać na «jasną, promienną aureolę». Sufler miał w egzemplarzu «krucze», amant «płowe», a inspicjent «złociste». Sztuka zrobiła klapę sromotną i słusznie, bo autor nie powinien zabierać głosu w sprawach owłosienia. Nawet starsi ludzie (Homer!) popełniają błędy i porwani t. zw. natchnieniem rozrzucają nieopatrznie epitety, które już po kilku wiekach tracą wszelki sens. Co to znaczy np. «sowiooka» i dlaczego to ma być takie piękne?

Nie, moi panowie. Opis «uroczej kobiety» w powieści i w dramacie powinien wyglądać mniej więcej tak, jak zwykły, drukowany formularz paszportowy:

oczy... włosy... wzrost...
usta... podbródek... wiek...

Kropki. Wszędzie kropki.

Kto ten formularz usiłuje wypełnić, jest śmieszny już po upływie roku. Czasem jeszcze wcześniej.

Dr. J. KACEW

KOSMETYKA WCZORAJ I DZIŚ

Kosmetyka, która od niedawna dopiero stała się dziedziną wiedzy lekarskiej, początek swój—instynktowny, empiryczny—bierze z czasów przedhistorycznych.

Potrzeba przystrajania się, nadawania swej powierzchowności kształtów estetycznych, usuwania lub przynajmniej ukrywania defektów cielesnych, wszystko to głęboko jest zakorzenione w istocie ludzkiej. Tak samo jak dziecko podświadomie odróżnia piękno od brzydoty, tak i ludzie prahistoryczni wrażliwi byli na piękno. To podświadome dążenie do piękna znajduje analogję w postaci pewnego rodzaju kokieterji, obserwowanej często u zwierząt.

Psy, naprzykład, i koty oblizują i wycierają swą skórę, ptaki przy pomocy dzioba i pazurów starannie umywają i układaią każde piórko. Sądzę, że nie popełnię błędu, dopatrując się pewnego prymitywnego pojęcia stroju w figowym listku naszych praojców. (Wszakże banany Józefiny Baker uważamy za strój wystarczający i nawet modny)!

Już na 1.500 lat przed nar. J. Chr. egipcjanie zdradzali wielkie zainteresowanie sprawami kosmetycznemi, czego dowodem jest najdawniejszy nam znany dokument literacki zwany papyrusem Ebersa. Znajdujemy tam najrozmaitsze porady i recepty kosmetyczne. Przytoczone są środki przeciwko wypadaniu włosów, do malowania siwych włosów i paznogci, na zmiękczenie skóry twarzy, na usuwanie zmarszczków i do pielęgnowania zębów.

W jakim była stopniu rozwinięta w starożytnej Persji, kraju o wysokiej cywilizacji, kultura kosmetyki, jako przykład służyć może następujący obyczaj: dziewica, przeznaczona na żonę dla króla, w przeciągu roku była poddawana skomplikowanym zabiegom kosmetycznym. W przeciągu sześciu miesięcy namaszczano ją balsamami i myrrhą, zaś drugie półrocze poświęcone zabiegom przy pomocy najrozmaitszych olejków i pachnideł.

Dzięki wojnom perska wiedza przenikła do Grecji, a stamtąd—do Rzymu. Wnosząc z ówczesnej literatury, starożytni Grecy początkowo poprzestawali na intensywnej kąpieli, po której wcierano w skórę olejki. Później Grecy nauczyli się zaopatrywać te olejki w najrozmaitsze zapachy i pachnidła te weszły w codzienny użytek Greczynek. Pozatem Greczynki posługiwały się rouge'm, bielidłami, pudrem, malowały włosy na kolor złocisty i usuwały zbyteczne włosy przy pomocy gorącej smoły.

Okres zupełnego rozkwitu wiedzy kosmetycznej i perfumeryjnej nastąpił dopiero w Rzymie, w okresie największej potęgi mocarstwowej i największego upadku obyczajów w Imperjum Rzymskiem. Poeci ówcześni — Owidjusz, Horacy, Wirgiljusz i inni wprowadzają nas do buduaru wytwornej rzymianki. Z wieczora niewolnica okrywa twarz swej pani warstwą pasty, składającej się z mleka i chleba, by zachować biały kolor skóry i zapobiec powstawaniu zmarszczków. Rano ta wyschnięta, nieapetyczna maska zmywa się za pomocą ciepłego oślego mleka. (Poppea, towarzysząca w wyprawach wojennych Neronowi, w taborze swoim liczyła 100 oślic)! Następnie twarz jest opłukiwana ciepłą pachnącą wodą i wysuszona miękką chustką. Niewolnicę zastępuje służebnica, której pieczy podlegają zęby pięknej ich posiadaczki. Stojąc na kolanach dziewczyna trzyma w jednej dłoni artystycznie wykończony puhar z ziarnami Martix dla odświeżenia jamy ustnej, w drugiej zaś ręce—kosztowne naczynie z proszkiem do zębów. Gdy zęby (naturalne i sztuczne) uzyskają pożądany połysk matowy kości słoniowej, twarz poddaje się artystycznym zabiegom specjalnej charakteryzatorki, która nakłada roug'e i bielidła, podciąga i wydłuża brwi.

Następnie doświadczone ręce fryzjerki ondulują włosy na czole i skroniach, zaś uperfumowany warkocz układa w arcydzieło kunsztu fryzjerskiego, zaopatrzone w przepiękne grzebienie i nici pereł. Poranną toaletę kończy manicure. Że i pedicure był znany w owych czasach, świadczy opisana przez Petronjusza uczta u Trimalchio. «Podczas uczty, —



pisze Petronjusz, — chłopcy przedostawali się pod stół i wielce umiejętnie doprowadzali do porządku nogi i paznogcie gości».

Z owego okresu też datuje się powstanie kosmetyki naukowej dzięki pracom lekarzy rzymskich Asklepiades'a, Sorana Archigenes'a, Heraklides'a i w szczególności Critona, któremu zawdzięczamy wydanie pierwszej systematycznie opracowanej, naukowej książki, poświęconej wyłącznie kosmetyce. Golen—twórca średniowiecznej kultury lekarskiej, bardzo wiele uwagi poświęca kosmetyce i swoim autorytetem daje impuls do dalszych badań i udoskonaleń w tej dziedzinie.

Nie będę nudził czytelnika wyliczaniem wszystkich powag lekarskich, które na przestrzeni stuleci, wprowadziły nas w istotę najcięższych cierpień ludzkich i równocześnie nie uważały za niegodne siebie pogłębienie naszej wiedzy w dziedzinie tych małych cierpień, które w naszych czasach złożyły się na całą naukę.

Lecz czy można te cierpienia nazwać «małemi»? Czy mało rozpaczy sprawiają pryszcze, czerwony nos lub broda



Mozolne zajęcie

u kobiety?... A przedwczesna utrata elastyczności i uwiąd skóry i powstawanie zmarszczek, czyż nie niepokoją kobiety?

Dzięki farmakologji, czyli nauce o działaniu środków leczniczych, możemy wyrzec się licznych tajemniczych i «cudownych» środków, dziedziczonych z pokolenia w pokolenie, w istocie zupełnie bezwartościowych, lub nawet, co gorsze, szkodliwych. Istnieją obecnie zakłady fabryczne o doskonałych instalacjach technicznych, pozostające pod dozorem naukowo przygotowanych specjalistów, posługujące się receptami największych powag lekarskich. By nie odbiegać od tematu zaznaczę tutaj tylko, że na produkowane przez te fabryki kremy, pudry i mydła (neutralne) winniśmy patrzeć nie jako na środki lecznicze, lecz posługiwać się nimi wyłącznie do pielęgnowania zdrowej skóry, dla zachowania jej soczystości, specyficznej zdrowej wilgoci, jedwabistości oraz dla ochrony jej przed niekorzystnymi warunkami atmosferycznymi.

Chemiczne promienie górskiego słońca (lampy kwarco-



Panowie też się strzygą à la garçonne...



ROZKOSZNE UCZUCIE ŚWIEŻOŚCI

:: :: CZYSTY ODDECH :: ::

BIAŁE, LŚNIĄCE ZĘBY

»DENTOSAN«

DAJE TO WSZYSTKO

wej) są stosowane do leczenia zanieczyszczonej skóry, w szczególności zaś dla przeciwdziałania wypadaniu włosów. Dla usuwania niepotrzebnych włosów nie uciekamy się, jak za dawnych czasów, do barbarzyńskich sztyftów smołowych, lecz przy pomocy specjalnego prądu elektrycznego (kaltkaustyki) bez bólu wypalamy brodawkę włosa, stanowiącą jedyne źródło jego życia. Tym samym sposobem są usuwane rozszerzenia naczyń (żyłki), plamki brodawki i inne nowotwory.

Diatermja, stosowana obecnie z wielkiem powodzeniem w rozmaitych dziedzinach medycyny, przynosi znaczne ułatwienia w codziennej praktyce kosmetycznej, w szczególności przy lokalnem usuwaniu zmarszczek.

Natomiast prawdziwą rewelacją jest odmładzanie skóry za pomocą podskórnych zastrzyków specyficznej surowicy (soku) młodego naskórka, skóra staje się bardziej mocna i natężona, zyskuje czystą barwę, starczy pigment znika, zmarszczki wyrównywują się naskutek wzmożonego dzielenia i powstawania nowych komórek.

Kosmetyka rozpocząwszy ciernistą drogę swego żywota pod opieką kapłanów i czarodziejów, przeszła później pod zarząd alchemików, następnie dostała się w ręce chiromantów, wróżbitów i poprostu szarlatanów; w okresie ostatnich lat kilkudziesięciu znajdowała się ona pod wysokiem protektoratem fryzjerów i «pań — od aparycji balowej». Los jednakże chciał, by kosmetyka z ciemnych zakątków znachorstwa wydostała się pod światłe promienie wiedzy lekarskiej. Początkowo część dermatologji (nauki o chorobach skóry i włosów), kosmetyka wkrótce wyrosła w osobną dziedzinę wiedzy, szeroko wykorzystując wszystkie zdobycze naukowe współczesnej wiedzy medycznej.



Ostatnia korekta...

„NIEPOTRZEBNY CZŁOWIEK"



Doskonały aktor filmowy Emil Jannings nakręcił w Ameryce pierwszy swój film p. t. „Niepotrzebny człowiek". Film ten, reżyserowany przez Wiktora Fleminga, jest wyświetlany w warszawskiem kinie „Casino".

WSCHODZĄCY TALENT



Dr. Antoni Marczyński,

którego powieść „Czarna Pani" ukazała się na półkach księgarskich, zapowiada jeszcze w b. r. wydanie 11 dalszych powieści

 SAMOCHODY

„T E R M I A"

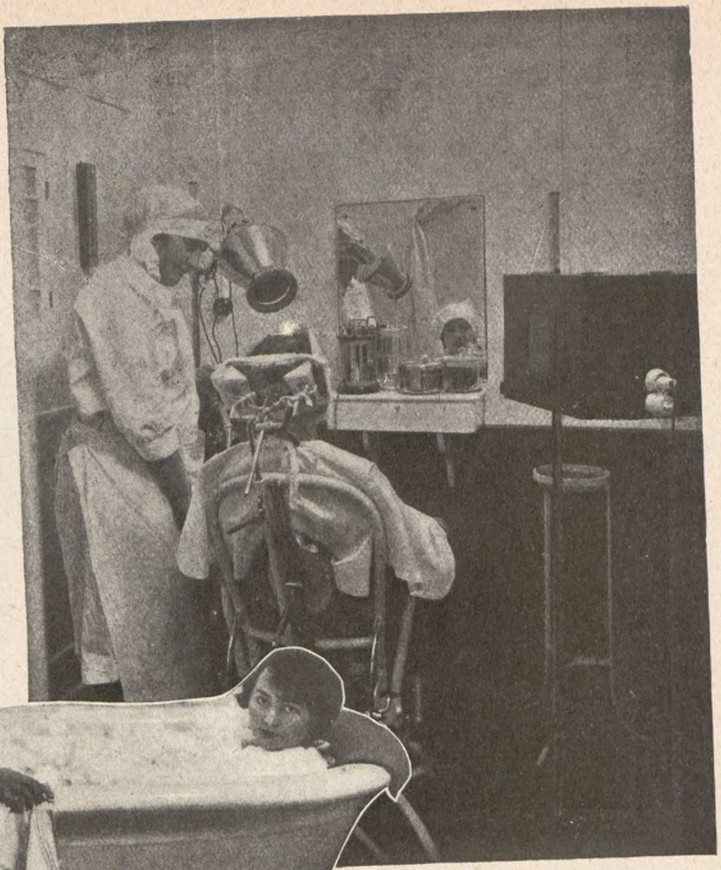
Sp. Akc. Budowy i Eksploatacji Zakładów Kąpielowych w Polsce otworzyła w Warszawie, Krak. Przedm. 16/18. Zakład Ciepłoleczniczy z Działem Kosmetyki Leczniczej p. f. „Termia".

W zakładzie tym, urządzonym nadzwyczaj komfortowo i wyposażonym w najnowsze urządzenia i aparaty, wprowadzono dwie ostatnie zdobywcze na polu ciepłolecznictwa: kąpiele piankowe i natryski parafinowe.

Kąpiele piankowe przedstawiają nowy zabieg leczniczy, polegający na pogrążaniu pacjenta w śnieżno-białej piance, wytwarzanej za pomocą specjalnych aparatów w odpowiednio przygotowanych wannach.

Kąpiele powietrzno-piankowe pozwalają osiągnąć spotęgowanie procesów spalania w ustroju, oraz przyspieszenie przemiany materji głównie kosztem tłuszczów i węglowodanów, bez jakichkolwiekbądź przykrych objawów ubocznych.

Kąpiele powietrzno-piankowe stosowane są w leczeniu chorób, przemiany materji, otyłości, podagry, artretyzmu, reumatyzmu, ischiasu chorób kobiecych, różnych wysięków pozapalnych, przewlekłych chorób skóry, stawów i kości.





Kąpiele tlenowo-piankowe działają kojąco na układ nerwowy zmniejszając nadwrażliwość narządów przepracowanych. Kąpiele tlenowo-piankowe znajdują zastosowanie u osób cierpiących na neurastenję, bezsenność i t. p. Pod względem kosmetycznym kąpiele te zasługują na specjalne wyróżnienie dzięki wzmacniającemu działaniu na skórę.

Kąpiele kwasowęglowo-piankowe, aromatyczne mentolowe, siarczane i in., znajdujące zastosowanie bardziej specjalne, stosowane są również z Zakładzie „Termia".



Zaznaczyć należy, że Zarząd Zdrojowiska Karlsbadu (Czechosłowacja), stosując już od dłuższego czasu Kąpiele Piankowe, rozszerza znacznie powyższy dział kąpielowy w sezonie kuracyjnym 1928 r.

W natryskach parafinowych zyskało ciepłolecznictwo udoskonalony sposób stosowania parafiny, którą już od szeregu lat wypróbowano w lecznictwie, jako środek znakomicie nadający się do kuracji odwadniającej i odtłuszczającej. Zakład „Termia" przeprowadza kuracje powyższe indywidualnie, według specjalnie opracowanych metod, przyczem obok natrysków parafinowych, stosowane są jednocześnie inne, odpowiednio skombinowane zabiegi. Wysoka temperatura rozpylanej mieszaniny uzasadnia też skuteczność zabiegów parafinowych w leczeniu reumatyzmu, artretyzmu, ischiasu, oraz chorób kobiecych.

W Zakładzie „Termia" otworzony został jednocześnie dział kąpieli Elektryczno-Świetlnych oraz gabinet Lamp Kwarcowych.

Kosmetyka lecznicza została również uwzględniona w Zakładzie „Termia".

W komfortowo urządzonych salonach stosowane są wszystkie najnowsze zabiegi z dziedziny cryo-, photo-, elektro- i masoterapji.

Żmudnie opracowane metody i odpowiednie, indywidualnie przeprowadzane kuracje umożliwiają osiąganie nader korzystnych wyników w usuwaniu wad cery i konserwacji urody.

ZAKŁAD ŻADNYCH FILJI NIE POSIADA.



Nóżki... to jest najważniejsza rzecz! *Vera Molnar, primadonna Boulevard-Theater w Wiedniu.*

Redaktor: IGNACY KOŁŁUPAJŁO, Wydawca: «BEKA» Sp. z o. o.

Redakcja i Administracja: Czackiego 8, tel. 525-85. Konto P. K. O. 16190.

Z kierownikiem wydawnictwa porozumieć się można codziennie w godz. 3—4 popoł. Telefon 407-12.

Prenumerata wraz z przesyłką: półrocznie zł. 9, rocznie zł. 18.

Cena ogłoszeń: 1 strona zł. 800; 1/2 strony zł. 450; 1/4 strony zł. 250. Ogłoszenia wielobarwne o 50% drożej.

Część nakładu wydrukowano na wykwintnym papierze kredowym. Klisze jedno i wielobarwne i druk Zakł. Graf. B. Wierzbicki i S-ka, Warszawa, Chmielna 61.


WSZĘDZIE PODZIWIANE
SAMOCHODY
Peugeot
NOWY MODEL PEUGEOT
WARSZAWA
MONIUSZKI 5.
I. HOLLAK



KLISZE JEDNO I WIELOBARWNE I DRUK ZAKŁ. GRAF. B. WIERZBICKI I S-KA, WARSZAWA, CHMIELNA, 61.
Drukowano na papierze kredowym Tow. Akc. J. FRANASZEK, Warszawa.